

Bolesława Proskurowska<sup>1</sup>

## Wspomnienia

Urodziłam się 28 października 1914 roku w Łodzi nazywam się Proskurowska z domu Lipska na imię mam Bolesława. Jedni moi dziadkowie pochodzili z Łodzi (rodzice od strony matki), drudzy dziadkowie mieszkali w Częstochowie. Ojciec mojej mamy (dziadek) był przemysłowcem i posiadał dom na ulicy Traugutta nr 8 w Łodzi, zmarł 1937 roku. Babcia (mama mojej mamy)/ zginęła potem w Częstochowie. Rodzice mojego ojca mieszkali w Częstochowie. Matka mojego ojca zmarła w 1928 roku. Dziadek (ojciec mojego ojca) był przemysłowcem, zmarł w 1937 roku. Od czasów jak pamiętam moi dziadkowie mieszkali już w Częstochowie. Posiadali bardzo duże mieszkanie, zajmowali całe drugie piętro budynku na ul Kościuszki, w tym, w którym dziś na dole jest PKO. Ja wychowywałam się w tym mieszkaniu. Całe dzieciństwo i młodość mieszkałam w domu Frankego Aleja nr 14, przez krótki czas mieszkaliśmy na ul Jasnogórskiej 55; ponieważ mieszkanie było na trzecim piętrze i ojcu było ciężko chodzić po schodach, przeprowadziliśmy się na ul Kilińskiego 28. Był to zupełnie nowy dom, ładne duże mieszkania. Byliśmy pierwszymi lokatorami w tym nowym domu. Z tego mieszkania w 1940 roku wyrzucili nas Niemcy. Zamknęli wówczas ulicę Kilińskiego i wyrzucili wszystkich mieszkających na tej ulicy Żydów.

Ojciec mój skończył w Krakowie gimnazjum realne. Do Krakowa zawiózł go mój dziadek, ponieważ nie chciał, żeby ojciec chodził do rosyjskiego gimnazjum, a na terenie monarchii austro-węgierskiej prowadzona była bardziej liberalna polityka wobec mniejszości narodowych niż pod zaborem rosyjskim. W gimnazjum, do którego uczęszczał ojciec, nauczano w języku polskim i niemieckim. Ojciec ukończył studia w Lipsku w Niemczech. Wraz z swoim ojcem i bratem prowadzili tartak, klejarnię i garbarnię. Produkcja wyrobów z drewna była tradycyjną w rodzinie Lipskich. Po wojnie pozostała tylko nieruchomość, do której jest ośmiu współników, wśród nich i ja. Jestem administratorką tej nieruchomości. Ojciec nie brał czynnego udziału w działalności gminy żydowskiej. Chodził do nowej synagogi podczas dużych świąt żydowskich W Jom Kippur zabierał też mnie i siostrę do synagogi.

Mama studiowała języki obce w Brukseli w Belgii; w tym mieście także w konserwatorium studiowała pianistykę jej siostra. Podczas pobytu na wakacjach poznała ojca,

---

<sup>1</sup> Pani Bolesława Proskurowska mieszkanka Częstochowy pochodzenia żydowskiego, żyła dziewięćdziesiąt dwa lata, zmarła w sierpniu 2006 roku. Zamieszczone wspomnienia pochodzą z zachowanych wywiadów przeprowadzonych z panią B. Proskurowską w końcowym etapie jej życia. Zgodnie z życzeniem zmarłej po śmierci pochowana została w grobie obok męża na cmentarzu Kule w Częstochowie.

Teksty z taśm magnetofonowych spisała studentka politologii Akademii im Jana Długosza w Częstochowie pani Sylwia Chłodzińska. Zamieszczony tekst jest wersją opracowaną i autoryzowaną przez panie Annę Goldman, Halinę Wasilewicz, i pana Jerzego Mizgalskiego.

już nie wróciła na studia tylko wyszła za męża. W ówczesnych czasach nie było takiego powszechnego pędu do kończenia studiów wyższych przez dziewczyny.

Dziadek mojego męża był kantonistą. Nazywał się Proskurowski a na imię miał najprawdopodobniej Dawid. Pochodził z Charkowa. Na terenach dawnej Rosji tam gdzie były większe skupiska żydowskie, rosyjscy żołnierze porywali małych chłopców w wieku około 5 lat, koszarowali ich i wychowując starali się by zapomnieli o swoich nazwiskach i miejscu pochodzenia. Dziadek męża zapamiętał, że pochodził z Charkowa. Nazwiska nie pamiętał. Uczono ich zawodów, które miały być przydatnymi potem w wojsku. Wyuczył się cholewkarstwa i tym się zajmował. W wieku około 30 lat zwolniono go z wojska. W wojsku nie zmuszano go do zmiany religii, był bardzo religijnym Żydem. Ożenił się stosunkowo późno miał pięcioro czy sześcioro dzieci. Wszystkie wychował religijnie. Mój teść był najbardziej religijnym z całej rodziny. Te informacje o dziadku przekazał mnie mój mąż. Rodzina męża nie miała żadnego majątku i nieruchomości. Mój teść, ojciec mojego męża, uczył księgowości i pracował jako księgowy. Najstarszy brat męża skończył chemię w Grenoble. Mój mąż też studiował chemię w Grenoble, ale nie skończył, bo teściowi zabrakło pieniędzy na studia.

W moim rodzinnym domu mówiło się wyłącznie po polsku. Ja i moje rodzeństwo nauczyliśmy się języków obcych. Oboje rodzice dbali o to by córki znały języki obce. Wszystkie książki dla dzieci wpięrw czytała mama, później guwernantka a dopiero potem dawano nam do przeczytania. Wraz z moją siostrą chodziłam na prywatne komplety do pani Zofii Słonimskiej. Miała ona swój domek na ulicy Focha, wówczas ta ulica nazywała się Zielona. Mąż pani Z. Słonimskiej, inżynier Adam Słonimski, był chyba stryjecznym z Antonim Słonimskim. Dom, w którym odbywały się komplety był jednorodzinny parterowym domem z dużym placem. Na tym placu ojciec Pani Słonimskiej miał fabrykę papy. Komplety odbywały się w dużym pokoju przy długich stołach. Zajęcia z dziećmi prowadzone były indywidualnie w zależności od poziomu, czyli klasy, do której miało się zdawać do gimnazjum. Do gimnazjum poszłam mając dwanaście lat dopiero do trzeciej klasy. Siostra poszła od razu do pierwszej. Nie pamiętam, by dzieci żydowskie z zaprzyjaźnionych z nami rodzin, czyli z tej klasy, do której uczęszczałam, chodziły do szkół podstawowych. Dzieci te uczyły się prywatnie na kompletach. W gimnazjum im J. Słowackiego obowiązywał numerus clausus. W każdej klasie były 3-4 Żydówki. W szkole było różnie, ja najbardziej rozrabiałam w całej szkole. Po prostu jednego pięknego dnia wówczas, gdy zaczęły się niepokoje na wyższych uczelniach a nas prowadzano na wszystkie święta narodowe pod Jasną Górę powiedziałam, że ja nie będę więcej tam chodziła, bo mnie to nie odpowiada, że wszyscy klęczą a my stoimy jak słupki. Wówczas w Częstochowie były dwa państwowe gimnazja męskie H. Sienkiewicza i R. Traugutta i jedno żeńskie – J. Słowackiego. Poza tym było gimnazjum żydowskie, w którym uczono języka hebrajskiego i historii Żydów oraz drugie prywatne, które niestety nie wiem, kto prowadził. Prywatne gimnazjum prowadził dr Akser, był on stryjem Ottona i Erwina Akserów, pochodził

najprawdopodobniej z Małopolski. W moim gimnazjum im J. Słowackiego był duży rygor, ale dało się żyć. Po moim zbuntowaniu się, jedna z matek żydowskich prowadziła nas na nabożeństwa do synagogi i już nie chodziłyśmy na Jasną Górę. Tylko z dwoma koleżankami po maturze się nie pożegnałam. Incydent, jaki miałam z nimi był podczas pobytu w Olsztynie. Co roku wiosną wyjeżdżałyśmy z gimnazjum na tydzień do Olsztyna pod Częstochową. Komitet rodzicielski z gimnazjum im. J. Słowackiego miał tam wspaniałą willę. Przyjeżdżali do nas nauczyciele, każdy przyjeżdżał na jeden dzień i prowadził pięć godzin zajęć szkolnych z jednego przedmiotu. Któraś z tych koleżanek coś powiedziała, nie wiedząc, że ja jestem w pokoju, co mnie zdenerwowało dokładnie teraz już nie pamiętam. Jedną po wielu latach spotkałam po wojnie w Zakopanym. I nie chciałam się nawet z nią spotkać, ale ona wytłumaczyła mi, że była młodą, że była jeszcze głupia. Stryj tej drugiej był księdzem. Ów ksiądz z kościelnym przechowywali Żydów. Po wojnie otrzymali odznaczenia. Z epizodów w tej szkole pamiętam, że pisząc wypracowanie z polskiego napisałam: „pseudo-przystojni kawalerowie zielonej wstążki”. Bardzo to zdenerwowało moje koleżanki. W owym czasie podczas zamieszek na uczelniach faszystujący endecy nosili jako swoją odznakę wpiętą w klapę zieloną kokardkę. Moje koleżanki nie zdenerwowały się tą zieloną wstążką, lecz określeniem chłopaków jako pseudo-przystojnych. Rok przed maturą podczas zimy w karnawale miałyśmy lekcje tańca. Przychodzili do nas koledzy z równoległych klas z „Sienkiewicza” i „Traugutta”. Poznałam wówczas kolegę, z którym potem się spotykałam. Chociaż to było gimnazjalistom zakazane, chodziłam z nim po ulicach. Po wojnie dowiedziałam się od drugiego kolegi z jego klasy Żyda, że zrobili nad nim w gimnazjum „Traugutta” sąd, że przynosi wstyd całej szkole, bo chodzi z Żydówką z „Słowackiego”. On mnie tego nie powiedział. Chłopiec ten był później w podchorążówce i zginął zaraz na początku wojny. W 1932 roku skończyłam gimnazjum im J. Słowackiego. Potem skończyłam dwuletnie studium handlowe w Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi. Podczas mojej nauki w Łodzi hitlerowcy zaczęli podnosić tam głowę. W mieście tym była duża grupa żydowskiej młodzieży; utrzymywałam z nią kontakty i nie miałam kontaktów z grupami hitlerowskiej młodzieży. W Łodzi byłam krótko, musiałam coś szybko skończyć, bo trzy lata po mnie na studia szła moja siostra. Dwojga dzieci jednocześnie ojciec nie utrzymałby na studiach tym bardziej, że podczas wielkiego kryzysu ekonomicznego ojciec stracił majątek. Została mu nieruchomość, z której nic nie miał. Po skończeniu Wszechnicy pracowałam aż do wybuchu wojny jako księgową w Północnym Towarzystwie Transportowo-Specjalnym. Nie byłam główną księgową, prowadziłam kartoteki. Głównym księgowym był starszy człowiek w wieku mojego ojca. Wtedy dobrze było w ogóle posiadać jakąś pracę.

Miałam rodzeństwo. Jedna z sióstr była młodsza ode mnie o niecałe trzy lata, druga siostra była młodsza o dziewięć lat. Pierwsza skończyła chemię na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem mieszkała we Lwowie. Jej chłopak także rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim a kończył je we Lwowie. Miałam wspaniałe dzieciństwo. Z

pamiątek po rodzinnym domu pozostała mi biblioteka, zegar oraz biurko ojca, meble te kiedyś stały w gabinecie ojca. Jakimś trafem udało się je uratować.

Po dojściu w 1933 roku Hitlera do władzy udzielił nam się strach. Wiedzieliśmy, że jest źle. Przychodziły do nas grupy Żydów, których oni wyrzucali z Niemiec i zostawiali na polskiej granicy. Ja nie pamiętam czy mieli oni jakieś powiązanie z Polską. Czy pochodzili z Polski? Polska musiała ich przyjąć.

Kilka dni przed wybuchem wojny zamknięto nasze biuro. Szef, który miał swoją siedzibę w Warszawie, posiadał szwajcarskie obywatelstwo wyjechał do Szwajcarii. Moja mama, jeszcze wtedy miałam swoją matkę, wyjechała do Łodzi, ponieważ Łódź była bardziej na wschód, więc chciała uciekać z Częstochowy. Częstochowa była bardzo blisko granicy; w Lublińcu była komora celna. Ojciec się uparł i powiedział, że na pewno wojny nie będzie. Myśmy jednak wyjechały z matką do Łodzi. Wówczas, gdy pierwsze bomby spadły na Polskę, byłyśmy w Łodzi. Potem ojciec dał nam znać, że jednak uciekał, i już wrócił. Dowiedziałam się również, że mój narzeczony też jest w Częstochowie. Nie został zmobilizowany, chociaż chciał iść ochotniczo do wojska. Zabrakło mundurów i broni, więc został ze swoimi rodzicami w Częstochowie. Z Łodzi wracaliśmy pod koniec września towarowym pociągiem. Niedaleko Częstochowy była katastrofa, wagon stanął w poprzek torów. Ja uległam wówczas wypadkowi, rozbiłam głowę pod łukiem brwiowym. W wagonie towarowym, w którym przewożono zwierzęta były zamocowane ciężkie żelazne kółka, do których przywiązywano zwierzęta, by podczas podróży były unieruchomione. Mnie rzuciło podczas tej katastrofy głową na takie kółko.

We wrześniu 1940 roku po wyrzuceniu nas przez Niemców z mieszkania na ul Kilińskiego, gmina żydowska przydzieliła nam dwa pokoje w mieszkaniu u znajomych, którzy mieli duże mieszkanie na rogu ul Kopernika i alei Wolności. Było to chyba pod numerem 18 przy ul Wolności. To jest narożny dom, stoją tam dwa złączone razem domy. Róg Kopernika i Wolności. Znajomi, u których mieliśmy te dwa pokoje nazywali się Dawidowicz. Wówczas zagęszczali mieszkania, bo przecież gdzieś trzeba było zakwaterować tych wszystkich Żydów, których wyrzucano z ich mieszkań. W tym mieszkaniu mieszkali gospodarze, ich córka z synkiem i jeszcze jedna kobieta, której mąż był w wojsku i nie wiem, czy potem wrócił czy nie. Był podobno na Wschodzie. Mieszkała tam jeszcze jedna kobieta z dzieckiem, moi rodzice, ja i moja siostra, bo druga siostra była we Lwowie. W Sylwestra z 1939 na 1940 rok przekroczyła zieloną granicę i dostała się do Lwowa. Pozostał jej chyba jeszcze jeden semestr na chemii, którą studiowała. Jej decyzję przyspieszyła wiadomość od chłopaka, że on już dostał się z Krakowa do Lwowa i tam będzie kończył medycynę. No i ona poszła do niego. Wróciła dopiero potem jak Niemcy weszli do Lwowa. Pojechał po nich znajomy ojca i przywiózł ich do Częstochowy. Wcześniej ów znajomy przywiózł też, przed zamknięciem łódzkiego getta, babcię.

22 grudnia 1940 roku wzięłam ślub w Częstochowie. Mąż z początku nie miał pracy, potem już pracował. Warunki były trudne, ponieważ jego ojciec nie pracował, więc nie

można było wcześniej wziąć ślubu, narzeczony „miał na głowie” rodziców. Ja byłam u rodziców i on był u swoich rodziców. Podczas wojny przyjechała z Sosnowca jego siostra z dzieckiem i mężem, który był lekarzem. Przyjechały jeszcze siostry teściowej. Wszyscy mieszkali razem. Wówczas mój mąż mógł już wyjść z domu. W dużym i małym getcie w ogóle mieszkało się w okropnych warunkach. W małym getcie nie było już rodziców, ale wciskali wszystkich i ugniatali w tych mieszkaniach, które pozostały.

Po ślubie wynajęliśmy pokój w alei Wolności 19 na przeciwko rodziców u rodziny żydowskiej. Trwało to jednak krótko, bo Niemcy chyba w marcu czy raczej w kwietniu 1941 roku zrobili getto. No i przenieśliśmy się wszyscy tam i tam już musieliśmy siedzieć. Mąż pracował i miał przepustkę z getta do pracy, nawet wyjeżdżał rowerem do pracy na ulicę Jaskrowską. Dzięki tej pracy, niemiecki treuhänder zarejestrował mnie i moją najmłodszą siostrę jako pracownice i miałyśmy auswajsy. Jako pracujące w tym zakładzie przeszłyśmy selekcję. Doprowadzili nas do takiego miejsca, w którym zbierali wszystkich Żydów podczas selekcji. I po prostu wskazywali na życie, na śmierć, na życie, na śmierć. Wysyłali do wagonów do Treblinki albo zostawiali. Nas tam było kilka kobiet, zatrudnionych w wytwórni amunicji. Mąż chyba by pamiętał, co to była za amunicja. Ja sobie przypominam, że były to granaty, jakieś duże pociski, coś takiego. Mojemu mężowi, którego znał treuhänder, Niemiec dał te auswajsy, ale tam było kilka osób, które po prostu zapłaciły Niemcom za to, że im dali auswajsy. Selekcję przeprowadzał Degenhart. Pytał się, co te żydówki robią w fabryce zbrojeniowej. A ten Niemiec, który koniecznie nas chciał wyciągnąć powiedział: „Aha, ale nie ma takiego zawodu”. Takiego zawodu nie było tylko po prostu tam się robiło odlewy ze stali tych granatów czy czegoś. Taki odlew musiał mieć włożony do środka pręt z dziurkami, podobny do fujarki, po to by otworami wychodził płomień. Myśmy robiły warkocze ze słomy i musiałyśmy tak owijać te rurki, by nie zakrywać tych dziurek. Słoma wypalała się w czasie tego odlewu tak wyglądała ta produkcja. I on szybko powiedział. Nie ma czegoś takiego, a tamten udawał mądrego, i coś odpowiedział. Dyskusja była przy nas, na terenie fabryki, która przed wojną nazywała „Metalurgia”. Była to żydowska fabryka przy ulicy Krótkiej. Przy tej fabryce, kręcił się też Żyd Zeninger załatwiał owemu treuhänderowi, różne sprawunki, miał niedorozwiniętego syna. Degenhart przy nas go zastrzelił. Przytrzymał chłopca za kołnierz i strzelił mu w tył głowy.

Na ulicy Warszawskiej było duże getto. Mieszkaliśmy tam w domu, który w tej chwili nie istnieje, w dwóch małych pokoikach z kuchnią: moi rodzice, babcia przywieziona z Łodzi, najmłodsza siostra, ta siostra, która wróciła ze Lwowa z mężem, siostra mojej mamy z dzieckiem i my z mężem. Ale myśmy, ja z mężem i najmłodsza siostra Hanna, wcześniej wieczorem, po sądnym dniu Jom Kippur, wyszliśmy i nocowałyśmy w tej fabryce i stamtąd poszliśmy na akcję, bo wiedzieliśmy, że już stoją wagony. Pożegnaliśmy się z rodzicami. W tej „Metalurgii” jeszcze spotkałyśmy się z siostrą. Ojca, który po prostu zwrócił uwagę Niemców, że tak pięknie mówi po niemiecku odstawili i na jakiś czas został w getcie. Był pracownikiem na tak zwanej placówce przy ul Garibaldiego 28, były tam magazyny dla

Niemców. Pewnego razu wywołali wszystkich Żydów pracowników, ojciec stanął nie w tym miejscu, co potrzeba i wywieziono go do Treblinki. Matkę wywieziono pierwszego dnia. Babcię, prawdopodobnie zastrzelili, była już przygarbioną, źle chodziła i pewnie liczyli, że nie dojdzie pieszo do wagonów. Tych wszystkich, których zastrzelili w czasie akcji, selekcji, chowali na ulicy Kawiej. Był tam plac, na którym na rozkaz Niemców wykopano ogromne rowy i wrzucano do nich wszystkich Żydów, których zabito. Świeżo zamordowanych, wieziono takimi wozami, jakimi przed wojną woziło się mięso. Wozy te były z wierzchu zakryte, ciągnęły je konie. Z tych wozów wożących świeże ludzkie ciała lała się krew. Podczas akcji, prowadzili nas przez tą ulicę; wzdłuż krawężników były strumyki krwi. Jeszcze jak dawniej było nas więcej w Częstochowie a odbywały się jakieś uroczystości, i jechaliśmy na cmentarz żydowski, to po drodze wstępowaliśmy na ulicę Kawią. Tam się składało wieńce i świecono znicze.

Pierwsza siostra wraz z swoim mężem zginęli 20 marca 1943 roku podczas tzw. akcji inteligencji w Częstochowie. Niemcy wymordowali wówczas sto kilkadziesiąt osób, które przy pierwszej selekcji pozostawiono przy życiu. Część z tych ludzi miała dzieci, z tych stu kilkadziesiątu osób pozostało około dwudziestu paru sierot dziecięcych. Wszyscy zamordowani podczas tej akcji zostali pochowani w jednym grobie na cmentarzu żydowskim w Częstochowie. Druga siostra wyszła z getta, uwierzyła w szczęśliwą gwiazdę. Niestety zadenuncjowana przez Polaków w Radomsku zginęła w Auschwitz-Birkenau. Robiono na niej jakieś okropne doświadczenia. Ktoś, kto wiedział jak zginęła nie chciał mi tego powiedzieć.

Częstochowskie duże getto nie było ogrodzone, u wylotu wszystkich ulic stali żydowscy policjanci. Polacy mieli prawo przechodzić i przejeżdżać przez teren getta bez żadnych problemów, bo musieli. Ulica Warszawska była główną ulicą w kierunku na Warszawę. Pamiętam jak przez ulicę Warszawską szedł kondukt pogrzebowy ojca mojej koleżanki szkolnej, bo przez Warszawską dochodziło się do cmentarza na Kulach.

My wszyscy mieliśmy opaski z Gwiazdą. Poza granice getta nie było wolno wychodzić, chyba, że ktoś miał przepustkę. Na przepustce, dokładnie nie pamiętam, chyba było określone, ile razy w ciągu dnia wolno wychodzić. Mój mąż miał taką przepustkę, również mój ojciec z początku miał przepustkę, później utracił ją. Wolno nam było tylko do pewnych godzin poruszać się, obowiązywała godzina policyjna. Poza gettem w mieście też była godzina policyjna. Któregoś dnia po godzinie policyjnej podlewaliśmy hodowany w skrzynce na balkonie krzaczek pomidorów i wszystkich nas w tym także moich rodziców zabrała żydowska policja, gdzieś nas wyprowadzili i wypuścili nas potem.

Do policji żydowskiej ludzie mieli dużo pretensji. Niektórzy z tych policjantów byli bardzo przyzwoici, a niektórym się po prostu poprzewracało w głowach. Przed wszystkim żądali pieniędzy dla siebie od obywateli, o których wiedzieli, że jeszcze mają jakieś zasoby pieniężne albo, że handlują gdzieś poza gettem. Uważali, że wszyscy policjanci muszą mieć wysokie buty tzw. oficerki, więc komu mogli, to zabierali. Ja się z tym nie zetknęłam, ale

niektórzy ludzie mieli do tych policjantów pretensje, za to, że podczas akcji pomagali Niemcom. Przed i podczas akcji Żydzi próbowali się chować w różnych kryjówkach. Były takie miejsca, jakies duże piwnice, jakies magazyny, gdzie sporo ludzi chciało przeczekać akcję. Liczyli, że im się uda. Było wiadomo, że np. w niektórych domach na strychu siedzi parę rodzin, policjanci żydowscy o tym wiedzieli, przecież byli z tego środowiska,. Podobno, ja tego nie widziałam, ja o tym słyszałam, ja się z tym bezpośrednio nie zetknęłam, bo ja od razu byłam skoszarowana, że wchodzili na podwórka i krzyczeli: „Żydzi! (po żydowsku) Żydzi! Amnestia! Wychodź!” I wychodzili prosto w łapy gestapo.

Akcje (deportacje) trwały parę tygodni. Niemcy po prostu wyznaczali jakiś obszar getta i jednego dnia wszystkich stamtąd prowadzili na stację i ładowali tam gdzie te wagony były podstawione i wywozili. Potem robili przerwę na wyniesienie wszystkiego, co się tylko dało z tych opuszczonych mieszkań. I znowu zabierali się do następnej akcji. Po deportacjach i likwidacji dużego getta Niemcy utworzyli małe getto. Małe getto to był już obóz, otoczony drutem kolczastym. Przed szóstą rano chodził trębacz i trąbił pobudkę. Grupa, w której ja byłam wychodziła pierwsza do pracy.

Na terenie starego, małego getta, chodziłam codziennie na szóstą rano do pracy do fabryki stali „Enro”. Od początku wojny pracował w niej mój mąż. Pewnego dnia przyszli Niemcy i zabrali męża z domu. Treuhänder, który znał męża zatrudnił go w fabryce stali „Enro”. W tej fabryce zatrudniono mnie także, miałam tam lżejszą pracę. Pracowałam w kuchni na stołówce, nawet trochę biurze. Z początku byliśmy tam skoszarowani. Spałyśmy 9 czy 10 kobiet na trzech materacach. Potem dochodziliśmy już z obozu, z małego getta. Prowadził nas taki volksdeutsch, który był przed wojną fryzjerem w Częstochowie. Podczas wojny nagle poczuł w sobie zew germańskiej krwi, został volksdeutchem. Zimą, gdy nas prowadził w zupełnych ciemnościach, ludzie urywali się, uciekali w tą ciemność. Droga, którą nas prowadził była wówczas polną, teraz tam zupełnie wszystko wygląda inaczej. Pewnego dnia wyszła z nami rodzina, która w jakiś sposób uratowała dziecko w pierwszej akcji. Był to mały Moniusz, który powtarzał: „Ja się nazywam Moniusz Kwinta, ale jak będę po aryjskiej stronie będę się nazywał Marian Kowalski”. Kwintowie mieli tuczarnię gęsi. Po drodze z małego getta do fabryki „Enro” był ogrodzony budynek tuczarni. Było ciemno, małego Moniusia postawili między swoimi nogami, szeroki płaszcz zakrywał to dziecko. Niemiec, który nas prowadził nie widział tego. Na zakręcie drogi czekała już kobieta, która była dozorczynią w tamtej tuczarni gęsi. Kwintowa wyskoczyła z kolumny, złapała na ręce Moniusia i wszyscy troje zginęli w ciemnościach. Do wracającej z pracy kolumny koło godziny trzeciej Kwintowa już sama dołączyła do nas i powiedziała, że ulokowała to dziecko. Oboje Kwintowie byli z nami w obozie. Nie wiedzieli nic o losach dziecka, żadne wiadomości, nie dochodziły do nich. Ludzie czasem woleli nie wiedzieć nic, żeby w razie bicia nie zdradzić; nikt nie wie, ile może wytrzymać podczas bicia. Po wojnie przyszli do nas powiedzieli nam, że już wyjeżdżają z Częstochowy. Poszli odebrać dziecko od kobiety, u której je zostawili. Kobieta powiedziała im: „Nie ma waszego Moniusia. On chorował, umarł

i myśmy go pochowali”. „No to powiedzcie gdzie?”. Ona nie chciała powiedzieć gdzie, bo można byłoby zrobić ekshumacje. Odchodząc dogoniła ich druga kobieta sąsiadka tej, u której był Monius i powiedziała im: „Nie wierzcie, że dziecko chorowało. Ona je udusiła”.

Nigdy w jednym i tym samym miejscu nie pracowaliśmy razem z mężem. W „Enro” był on kierownikiem klejarni, która była pod zarządem tego samego treuhändera. Potem uciekliśmy do Warszawy, na jego miejsce wszedł ktoś inny i po naszym powrocie do Częstochowy na to stanowisko już go potem nie wpuścili. Zresztą zaraz po powrocie była likwidacja małego getta. Ja pracowałam rozmaicie, przeważnie bardzo ciężko. W obozie też pracowałam bardzo ciężko w prochowni, to był ostatni etap wykańczania tych nabojów, co produkowali w Hasagu.

Przez jakiś czas nie pracowałam, bo miałam po kilkadziesiąt sztuk czyraków naraz, nie mogłam w ogóle chodzić. Po wojnie tłumaczył mi lekarz, że to prawdopodobnie zła przemiana materii spowodowała tą czyraczność. A może nastąpiła ona na skutek brudu, w którym się żyło. W tych mieszkaniach, do których nas tam zagnano nie było przecież kanalizacji ani bieżącej wody. Wówczas jeszcze mieliśmy trochę pieniędzy, mogliśmy kupić jedzenie i te czyraki nie były ze złego jedzenia. Warunki, w których żyliśmy w małym getcie były bardzo trudne. W jednym dużym pokoju, przy jednej małej kuchence o dwóch fajerkach, żyły cztery małżeństwa, każde w osobnym rogu tego pokoju. W kuchence paliliśmy, czym tylko było można – deskami, które po trochu odrywaliśmy z podłogi. No, bo skąd mieliśmy mieć drewno czy węgiel, czym mieliśmy palić? Ci, którzy wychodzili gdzieś dalej, przynosili jakiś kawałek mięsa, coś można było od nich kupić i ugotować na tej kuchence. W ogólnej kuchni w getcie wydawano posiłki, ale nie bardzo nadawały się one do jedzenia. Tam gdzie jest żywienie zbiorowe zawsze ktoś na tym zarabia. To już jest taka reguła. Więc myśmy nie brali stamtąd jedzenia.

W getcie chorowałam ja, moje siostry i mój mąż. W getcie był szpital. Tuż przed likwidacją małego getta, zachorował mój mąż, dostał bardzo wysokiej gorączki i pobiegłam po lekarza, by przyszedł go zbadać. Lekarz dał mu skierowanie do szpitala. Ponieważ ja nie byłam pewna, czy on właściwie postawił diagnozę, pobiegłam do drugiego lekarza, też znajomego. Był on starszym, od poprzedniego, który był z naszego pokolenia. Czas mijał, nim zaprowadziłam męża do drugiego szpitala zakaźnego, ponieważ drugi lekarz powiedział, że mąż ma anginę czy grypę, już dokładnie nie pamiętam. W każdym bądź razie poszłam do zakaźnego szpitala na ulicy Jaskrowskiej. W szpitalu nie było wolnego miejsca. Ja tam zaczęłam się trochę stawiać. „Jak to!? To on bez skierowania?”. Jak ja jutro pójdę do pracy? Jak go zostawię samego w domu, jak on jest chory?! Brak miejsca w szpitalu uratował wówczas mężowi życie, bo nazajutrz była likwidacja szpitala. Przyszli Niemcy, wszystkich chorych w tym szpitaliku i drugim zresztą też rozstrzelali.

Mój kolega ze szkolnych czasów, był ze swoją żoną gdzieś na wschodzie, przyjechał stamtąd chory na gruźlicę. Niemcy go wywlekli do jakiejś pracy. Próbowaliśmy go uratować i nie udało się. Niemcy wyciągnęli go z mieszkania i zastrzelili. Ciągle kogoś zabijali.

Zamordowanych chowali na cmentarzu żydowskim. Wszystkim Żydom, którzy mieli jakiegokolwiek rodziny w ówczesnej Palestynie, czyli dzisiejszym Izraelu, nakazali się zarejestrować. Ludzie wierzyli, że im ułatwią wyjazd. I 20 marca 1943 roku kazali tym, którzy zarejestrowali się zebrać na placu. Była to przeważnie inteligencja; wszystkich wywieźli, rozstrzelali na cmentarzu żydowskim. Po wojnie postawiliśmy tam jeden długi pomnik, składający się z czterech segmentów i na których wypisane są wszystkie nazwiska zamordowanych w tej akcji. Na cmentarzu na Kulach po wojnie też chowało się Żydów. Teraz nie ma gdzie, bo żydowski cmentarz jest zamknięty. Nie wolno na nim chować zmarłych. Z początku za komuny chcieli nam zabrać ten cmentarz, ale jakoś żeśmy go obronili. Nie chciano go jednak przeznaczyć pod rozbudowującą się hutę, bo boją się tej ciągłej złej opinii za granicą o Polakach-antysemitych. A to by była już za duża historia, żeby ryzykowali, że zabiorą to. Mają wiele innego miejsca na rozbudowę huty, nie muszą na żydowskim cmentarzu.

Podczas likwidacji małego getta wpierw wygonili wszystkich mężczyzn na plac i wyprowadzili do Hasagu. Potem wyprowadzili wszystkie kobiety, stałyśmy na placu, a oni znaleźli kilkoro dzieci. Jednym była dziewczynka, miała na imię Wandzia i przeżyłaby najprawdopodobniej wojnę, przechowana u swojej niańki czy służącej rodziców. Rodzice jednak stęsknili się za nią. Uważali, że jest tak spokojnie, by owa niania mogła przyprowadzić im dziecko. Z małego getta wychodziło się przeważnie gdzieś do pracy. Myśmy chodzili do „Enro”, inni wychodzili do Hasagu, jeszcze inni jeszcze gdzie indziej i znikoma ilość pracowała na terenie samego getta, tam przy kuchni, w biurze, czy w szpitalu. I oni, idąc z pracy, przyprowadzili sobie tą córeczkę. Nazajutrz wszystkie dzieci Niemcy wpakowali na samochód i wywieźli na rozstrzelanie. Dzieci te strasznie krzyczały, ta dziewczynka również. Rodzice tej dziewczynki mieszkali, w pobliżu nas w małym getcie. Ja widziałam, kiedy rodzice przyprowadzili dziewczynkę. Słyszałam jak te dzieci krzyczały: „Ratujcie nas, bo oni nas wszystkich pozabijają! Ratujcie nas!”. Wszystkie kobiety płakały. Po ulicy chodził z pistoletem gestapowiec, kazał nam się obrócić twarzą do ściany budynku, który stoi do dzisiaj. Gestapowiec powiedział, że jak któraś z nas odezwie się czy usłyszy, że któraś z nas płacze, do co dziesiątej z nas będzie strzelał. Wszystkie dzieci rozstrzelali. Ten gestapowiec bardzo lubił blondynki, zwłaszcza takie przy kości. Jedna chodziła do niego do domu jako sprzątaczką, wszyscy wiedzieli, że jest jego kochanką i ona spełniała rolę takiej dobrej Esterki, miała na imię Helenka. I czasami przez nią można było coś załatwić, kogoś wyciągnąć czy pomóc. Jak było wiadomo, że coś się będzie działo z małym gettem, to ona zabrała do siebie swoją kuzynkę. Pomiędzy gestapo a żandarmerią była rywalizacja. Gestapo trzymało ją u siebie, a żandarmeria przysłała i zastrzeliła obie. Mieli takie rozgrywki między sobą. Niemcy zaproponowali jednej naszej znajomej, że jeżeli zostawi dziecko, to ona może zostać. Kobieta powiedziała: „Nie! Pójdę z moim dzieckiem”. I zabrali ją. Potem drugiej, lekarce, też powiedzieli, że może zostać, jeżeli puści dziecko samo. Też nie chciała zostawić

dziecka i poszła razem z dzieckiem. Kobiety i dzieci zostały zamordowane. Pamiętam, wszystko pamiętam. Może mam nie bardzo poukładane tak dokładnie.

Podczas pobytu w obozie Hasag, praca była bardzo ciężka po dwanaście godzin na dobę przez dwa tygodnie pod rząd, bez zmiany. Na jednej z nocnych zmian przyszedł do mnie Polak i powiedział mi, że tam z drugiej strony, nie z tej, z której myśmy wchodzili, leżą złożone macewy: „Takie płyty z Waszych grobów. Z Waszego cmentarza”. Ktoś inny przyszedł i powiedział: „Tam jest Twoje nazwisko. Idź zobacz”. Ja tam nie doszłam, była tam macewa z jakiegoś małego dzieciennego grobu siostry męża, która zmarła w dzieciństwie.

Budynki Aleja nr 14 i Aleja nr 12 były granicznymi dużego getto. W tym dużym pięknym domu Frankiego, Aleja nr 14, Niemcy zgrupowali wszystkich potrzebnych im rzemieślników żydowskich. Nosili oni zielone opaski. Był to dom rzemieślników. Pomiędzy podwórkami budynków przy Alei nr 12 i nr 14 było przejście, przez które ludzie uciekali. Tą możliwość wykorzystał jeden z naszych kolegów i wyszedł z getta. Poza gettem czekał na niego katolik, przyszedł szwagier, wyprowadził go dalej i wywiózł z miasta. Po ślubie z swoją siostrą ukrył u swojej babci, tam przeżyli wojnę.

W domu rzemieślników mieszkał damski krawiec. Niemcy wozili go nawet do Berlina. Inny krawiec, męski, jeszcze wcześniej nim powstało to getto, mówił: „Mam tyle roboty”. Mojego ojca, któremu kiedyś szył ubrania podczas przypadkowego spotkania zapytał: „co słyhać panie Einhorn?”. „O, mam tyle roboty!”. „Jak to roboty Pan ma tyle?” – zapytał mój ojciec. „Ludzie teraz sobie szyją?”. „Nie ludzie. Jakie ludzie? Niemcy!”. Po wojnie syn tego krawca Einhorna, wyjechał do Szwecji gdzie jest profesorem medycyny. Einhornowie przeżyli z dziećmi wojnę. Rzemieślnicy przebywali także w naszym obozie w Hasagu mieszkali chyba na ul. Kolonicznej 3, w tej mieszkalnej części przy obozie,. Ja ich nie widywałam, ale wiedziałam, że oni tam przebywają razem z tymi rzemieślnikami, którzy byli Niemcom bardziej potrzebni. Einhornowie tam też przeżyli. Na Einhorna, męskiego krawca mówili rzeźbiarz, tak pięknie szył. Jedna moja młodsza koleżanka, z gimnazjum zdała u nas maturę, potem się nauczyła szyć, była zdolną krawcową. Toteż ją tam ochraniały Niemki, bo ona im szyła. Nazywało się, że ona pracuje przy jakiejś maszynie, a ona naprawę im szyła, tym wszystkim majstrowym.

W Hasagu byłam pobita przez Niemców za to, że nie mogłam udźwignąć sześciu rusztów do pieców. Od tego pobicia miałam ropiejącą ranę w głowie. Niemcy ustalili normę przenoszenia przez jedną kobietę sześciu rusztów. Dla nas było to bardzo ciężko próbowałyśmy nosić po cztery ruszty i za to nas pobili. Mężczyźni wykonywali inne prace, a my musiałyśmy nosić.

Wśród nas były różne kobiety, na przykład dwie dziewczyny, przed wojną zawodowe prostytutki. Były to bardzo dobre dziewczyny, jak jedną z nich wpakowali do piwnicy, za jakieś tam przestępstwo, to zapłakiwałyśmy się o nią. W obozie uzewnętrzniały się wszystkie cechy charakterów. Byli tacy, którzy sobie wzajemnie pomagali i byli też inni, którzy wykorzystywali tą okropną sytuację. Byli też bardzo zaradni ludzie, którym przynoszono z

miasta kartofle. Tarli te kartofle i piekli wielkie placki kartoflane kroili je na kawałki i sprzedawali po barakach. Inni mieli dostęp do blachy i robili z niej puszki i pyśki. Do puszek nabierało się jedzenie z kotła. W pyśki, oczywiście siusiało się. Stały one schowane pod siennikami i żeby w nocy, jak było bardzo zimno, nie wychodzić do ustępu. Baraki, w których nas umieszczono, najprawdopodobniej wcześniej były gdzieś indziej, rozebrano, przeniesione je i na nowo złożono. Widać było, że były one już stare. Prycze, na których spałyśmy były trzykondygnacyjne. Najgorzej było na samym dole, przy piwnicy. Ja spałam na tej środkowej, trzeba było jakoś na tą pryczę się dostać a przecież była jeszcze najwyższa prycza.

Okropnie prześladowało nas robactwo. Takich ilości wszy i pluskiew to nie widziałam przedtem w życiu i mam nadzieję, że już nie zobaczę. Zżerały nas. Zaobserwowaliśmy, że pluskwy, jeżeli miały możliwość, wychodziły na sufit i spadały. Ze wszystkich stron wchodziły i żarły nas. Przekonałam się wówczas, że słusznym jest porzekadło ludowe, robactwo jednych ludzi lubi bardziej a drugich mniej. Do jednych naprawdę szły z drugiego końca pryczy. Na mnie wchodziły wszystkie pluskwy i wszystkie wszy, jakie tylko były. Dorośli ludzie radzili sobie jakoś. Starano się sprowadzić z miasta maść przeciwțęczową. Nie dawali jej w obozowym szpitaliku. Ja miałam tęczec i świerzb. To jest okropna choroba skórna. Jestem alergiczką, przez te ukąszenia insektów byłam cała podrapana. Raz w tygodniu kąpałyśmy się wszyscy na raz pod prysznicami. Ponieważ byłam cała podrapana, inne kobiety myślały, że mam świerzb nawet wówczas, kiedy go nie miałam i nie chciały się przy mnie kąpać. Wśród nas była mała dziewczynka, całe ciało miała pokryte świerzbem. Nikomu się nie poskarżyła, może by ktoś, kto miał więcej tej maści trochę by jej użyczył. Maść pomagała w zwalczaniu choroby, świerzb po niej zmniejszał się i znikał. Niestety chorą zastrzelili.

Oprócz głodu zżerała ludzi gruźlica. Na terenie obozu był jeden barak dla chorych na choroby zakaźne. Najpierw w obozie był tyfus, przetrzebił ludzi z obozu. Potem w baraku zamykali ludzi chorych na gruźlicę, którzy najczęściej tam umierali. Ja miałam też zaatakowane płuca, ale wyszłam z tego. W baraku zakaźnym dawali tyle chleba, jak w przyzwoitym domu kroi się dzisiaj tort, na trójkąty, tak z okrągłego bochenka krojono trójkątne kawałki. Dostawało się taki kawałek chleba na dzień i dwa razy dziennie lurę. Na obiad gotowali z jarmużu zupę. Oczywiście wszystko było nieokraszone. Czasami gotowali na jakiś kościach i jak pływało coś, co mogło imitować nitkę mięsa to mówiliśmy, że żeśmy zjedli bochenek chleba z polędwicą albo schabowy z kapustą. Po wyjściu z obozu ważyłam 43 kg. Robactwo, głód i ta niepewność jutra, to były trzy plagi obozu.

Małżeństwa, które były w obozie mogły się gdzieś, spotkać, zobaczyć, porozmawiać. W Hasagu podczas pracy mój mąż spalił sobie palec, jakimś palnikiem kazali mu coś kroić, palić on przecież nie umiał tego tak dobrze robić, podsunął palec i opalił go sobie do kości. Żeby spotkać się z nim musiałam wchodzić za jakieś maszyny. Wtedy jeszcze takie były, stały, Niemcy nie zagospodarowali też całej przestrzeni, bo tam była przed wojną fabryka włókiennicza. Wywieźli te wszystkie maszyny, tam do tych nieruchomości, którą ja teraz

administruję, bo była najbliżej, a tutaj dopiero organizowali tę fabrykę, więc jeszcze wtedy nie było tak wszystko pozostawione i chowałam się z nim tam, w takim miejscu gdzie mogłam go umyć całego, bo on miał ten palec cały spalony, nie mógł się umyć. Potem w następnym okresie, mąż przychodził do baraków, już wówczas byliśmy w barakach i musiał mi myć głowę, bo ja musiałam sobie przytrzymywać opatrunek na tym miejscu, które musiałam mieć zeszyte po tym pobiciu, ale miałam strasznie dużo wszy i one włożyły do tej rany zaszytej i on mi zmywał te wszy. Podobno jak się śnią wszy, to są pieniądze. Ale mnie się już nie śnią wszy. Już widocznie przeszło trochę. Wszy, pluskwy, pchły, co kto chciał. Już wiedzieliśmy po prostu jak się zagnieżdżają na człowieku, skąd zaczynają tą swoją wędrówkę. Świerzb zaczynał się tu na klatce piersiowej, a wszy zaczynały się za uszami. To wszy głowowe. A wszy ubraniowe zaczynały się w jakiś zaszewkach bielizny.

Pluskwy były wszędzie. Pluskwy spadały. Takie wielkie pluskwy. Nażarte takie. Te jajka wszy, czyli te gnidy, to jeszcze gdzieś chyba, szereg miesięcy potem, chyba gdzieś były, bo już potem mąż zaczął pracować, kupił jakiś używany motocykl, myśmy na tym motorze jeździli, to jak zakurzyła mi się głowa to mi wylażyły znowu te wszy. Bo chyba pobiłam rekord. Ile ja miałam tego, nikt tyle nie miał, co ja. Jeszcze dzisiaj jak sobie przypominam to, mnie gryzie. Bo oni, co pewien czas mieli nakaz i musieli jakąś ilość osób odstawić. Ale te władze żydowskie obozu, to było, w dużym getcie się to nazywało Judenrat, a tutaj w obozie się nazywało, już nie pamiętam, jak, ale było dwóch czy trzech takich, to jak oni im kazali wybrać odpowiednią ilość ludzi i wystawić do wywiezienia, do Majdanka zdaje się wtedy wywozili, bo ta miejscowość się nam przewijała, myśmy dokładnie nie wiedzieli, co to jest, ale wiedzieliśmy, że stamtąd nikt nie wraca. To oni wyznaczali takiego, którego wiedzieli, że ma jeszcze trochę pieniędzy. Tamci się wykupywali, wysyłali zaś takich, którzy nie umieli się wykupić. Byli tacy, którzy rozdzielali, kroili chleb, to też się mieli lepiej, bo zawsze mogli sobie tam coś wykroić. Nie musieli tak dokładnie kroić tych porcji, prawda?! Zawsze ktoś korzysta i ktoś traci. Raz przychodzili z miasta i opryskiwali baraki wewnątrz jakimś płynem, widocznie takim przeciwko insektom, co zresztą nic nie pomagało, nic nie dawało. I kiedyś przyszedł taki, co był kolegą męża, z polskiego przedsiębiorstwa w Częstochowie, które robiło te opryski; przyniósł on od okropnego endeka, który z mężem mieszkał przed wojną w jednym domu, kawałek mydła, dla męża skarpetki i dla mnie jakąś suknię. Myśmy to wszystko sprzedali, żeby dokupić chleba no, bo Polacy przynosili z miasta. A byli tacy wśród nas, którzy mieli pieniądze.

Ja pracowałam potem przy tych nabojach. Jedna faza produkcji tych naboji to były surowe jeszcze gilzy, które obracały się w bębnach w takich mydlinach. Te bębny były ruchome chodziły w roztworze w mydlinach, żeby te gilzy były czyste. To mydło było „trofiejne”, skądś je przywozili, podobno z Rosji, miało wytłoczone rosyjskie litery. Było to tzw. szare mydło w kostkach. Jeden ze współwięźniów, który spał w jednym baraku z mężem, przewoził na niskim, malutkim wózekczku to mydło z magazynu do hali, w której gilzy kąpano w tym roztworze z mydłem. Po drodze, jak mu się udało, to kradł ze dwie kostki

i jakimś sposobem dostarczał swojej żonie. Żona pracowała ze mną w prochowni. Prochownia była szczelnie zamknięta. Nie było mowy, żeby ktoś wszedł spoza tych, którzy tam pracowali. A ona sprzedawała to mydło dwóm Polkom, które przychodziły do pracy z miasta. Ten, który kradł to mydło też sprzedawał, dawał mojemu mężowi. Mój mąż sprzedawał to mydło znajomemu strażnikowi, był on wyższy rangą i przy wyjściu nie był rewidowany na wasche (przez strażników na wejściu do Hasagu). I dzięki temu mogliśmy czasem dokupić kawałek chleba, od tych, co przynosili z miasta. Niestety dwie Polki, którym ta kobieta sprzedawała mydło, przechodziły przez kontrolę i znaleźli przy nich mydło. Silnie pobite powiedziały, że kupiły od jednej Żydówki. „Gdzie?”. „W Laborze!”. „Laborem” nazywano prochownię. Labor to jest po łacinie praca, a wszędzie była praca. Pamiętam, że siedziałam przy mojej maszynie, to się nazywało kontrola maszyn, kontrolka potocznie po polsku. To były automaty. Były to ładne maszyny, przysły z Skarżyska. One kontrolowały długość tych naboń, ich wagę i czy gilzy są dobrze zaciśnięte. Gilzy zaciskały takie wielkie maszyny, nazywały się wirgomaszyny. Potem przechodziły tą kontrolę i były pakowane. Ona akurat pracowała w pakowni i tam właśnie te dwie Polki pracowały. Przysły z Niemcami i miały pokazać, od kogo brały mydło. Pokazały, kto im dawał mydło. Niemcy wyprowadzili Żydówkę ona podobno powiedziała, że to mydło znalazła gdzieś tam w ruinach. Oczywiście nie uwierzyli jej i wysłali ją zdaje się do Ravensbruck. Ktoś ją widział jak ją prowadzili, była tak pobita, że była czarna. Ale przeżyła w tym Ravensbruck i wróciła, chociaż była już w Niemczech i mogła stamtąd pchać się gdzieś dalej, tak jak ludzie robili na ogół. Wróciła szukać męża, ale jego już nie było, zamordowali go Niemcy.

W Hasagu pracowaliśmy 12 godzin. Prócz nas pracowali z nami majstrowie, którzy nas pilnowali, musieli im dawać jakąś ilość wolnych godzin przy zmianie z nocnej na dzienną. Był, na przykład, taki Niemiec majster. Po wojnie jak UB aresztowało mojego męża, to siedział razem z tym majstrem w więzieniu. Ten majster w więzieniu czyścił wszystkim buty. Mój mąż powiedział wówczas, że: „Moja żona cię wspomina, że wcale nie byłeś najgorszy” bardzo się ucieszył. Umarł w więzieniu w Częstochowie na Zawodziu.

Przy zmianie, na przykład, jak się kończyła noc, to nie można było nazajutrz od rana pracować, tylko całą niedzielę trzeba było przepuścić, dopiero od poniedziałku się pracowało w dzień. Chodziło o to by uniknąć tych wolnych godzin i wolnych dni. Pracowało się przez dwa tygodnie, bez przerwy, po 12 godzin. Wypuszczali do ustępu. Pół godziny było na posiłek, przywozili jakąś lurę i można było ją zjeść, w tej prochowni. Przed drzwiami w prochowni stał taki, mówiło się, że Łotysz. Ci Łotysze się bardzo paskudnie zapisali współpracą z Niemcami. Ten Łotysz, ordynarnie obmacywał wszystkie wychodzące kobiety, pod pretekstem, czy nie mają, przy sobie kul. Po prostu on udawał, że szuka kul, a chodziło o upokorzenie. Nie wiem, czy on nawet z tego miał jakąś przyjemność. Chodziło o upokorzenie. On te kule często podrzucał, jak miałyśmy otwartą kieszeń. Potem te z nas, u których znaleziono kule, wywożono do więzienia albo zabijano. Bo tak naprawdę był jakiś sposób, że te kule przeciekały do partyzantów. Polacy je w jakiś sposób wynosili. Później

Niemcy kazali nam pozaszywać wszystkie kieszenie. Miałyśmy na sobie takie ceratowe fartuchy. Ja nie miałam nic na sobie, wszystko mi się już podarło, nosiłam tylko dwa ceratowe fartuchy. Postarałam się o drugi ceratowy fartuch, jeden nosiłam z przodu drugi z tyłu, bo mi się podarła spódnica. Chyba pierwszego dnia po wyzwoleniu, przechodziłyśmy z koleżanką z Krakowa, która też pracowała w Hasagu z ulicy Jasnogórskiej, przez Kilińskiego, z bramy domu, w którym przed wojną mieszkałam, wyskoczyło dwóch chłopców, byli też z Krakowa i mówią: „Mirka chodź, bo myśmy złapali takiego Niemca, on pracował z Tobą, w „Laborze” to go poznasz, czy to nie jest ten, co Wam podrzucał kule”. Ona poszła i powiedziała tak, że to jest ten, co podrzucał kule i zastrzelili go tam na podwórku. Paskudny był to człowiek. Należało mu się.

Bardzo brzydko zapisał się w historii obozu lekarz-Żyd, nazywał się Szperling. Operował młodą ładną dziewczynę, miała jakieś bardzo powikłane zapalenie wyrostka robaczkowego. Ta dziewczyna powinna być wcześniej już operowana, ale się ciągle bała, bo ją straszili, że ten wyrostek jest tak jakoś nieprawidłowo ułożony, że to będzie skomplikowana operacja. Operacja trwała dosyć długo on ją już zaszywał. Ktoś przybiegł i powiedział, że chodzi komisja. Lekarz otworzył na nowo jej brzuch i ustawił się przy niej w takiej pozycji, żeby go Niemcy widzieli jak to on dzielnie pracuje i operuje. Dziewczyna zmarła. Jeden z współwięźniów, młody chłopak, który spał na najwyższej pryczy w baraku nad moim mężem, nie pamiętam co mu było, czy był operowany, czy gdzieś się pokaleczył, czy poranił przy produkcji. Operował go ów chirurg i nie chciał zatrzymać po operacji w szpitalu. Chłopak ten leżał na tej górnej pryczy w baraku, robił pod siebie. Koledzy jak mogli to urywali się z pracy, przychodzili do niego pomagali mu. Byli to młodzi chłopcy, w ogóle nie mieli pojęcia jak można mu pomóc i chłopak zmarł. Mnie również po zaszcyciu prawej części szczęki też nie chciał zatrzymać w szpitalu. W ogóle zachowywał się okropnie. Z jakiejś charytatywnej organizacji ze Stanów Zjednoczonych przyszła przesyłka dla więźniów i potem dotarły do nas informacje, a byli tacy, co wiedzieli o tym już wcześniej, produkty z tej przesyłki były w wolnej sprzedaży w mieście. Ten lekarz chirurg sprzedał, to wszystko, co miało być dla nas, co mogło nam pomóc, lekarstwa też. Jak tylko Rosjanie weszli, to od razu zaciągnął się on do armii radzieckiej. Po wojnie młodzi chłopcy długo go szukali, bo wyjechał od razu z Częstochowy z żoną. Dopadli go i powiedzieli mu, że się okropnie zachowywał w obozie i zastrzelili go. Próbowwała go zasłonić żona, to powiedzieli jej: „Do Pani nie mamy nic, ale Pani by nas poznała”. I ją też zastrzelili.

W jednym baraku byli ulokowani oddziałowi i rzemieślnicy, którzy byli potrzebni Niemcom. Wśród tych rzemieślników byli głównie fryzjerzy. Musieli oni codziennie czy co drugi dzień golić wszystkich mężczyzn. Wszyscy musieli być ogoleni, a nikt przecież nie miał ze sobą swoich do tego przyborów, więc musiał iść do fryzjerów. Rzemieślnicy mogli przebywać z żonami. W tym baraku były inne prycze, nie takie w formie długich półek wzdłuż całego baraku, tylko dwupoziomowe pojedyncze prycze.

Zanim ustawili baraki, to wszystkie spałyśmy na jednej sali, nazywała się górną salą. Schody do tej sali prowadziły z zewnątrz. Jedna z kobiet krzyczała calusieńką noc: „Morderca kobiet i dzieci!”. Nie wiem jak jej nie brakło oddechu i siły. Calusieńką noc do świtu, do pobudki. A pobudkę trąbił młody chłopak. To była jedna noc, która utkwiła mi w pamięci. Druga, noc to ta, co jednej z nas spadła prasa na końce palców, są one bardzo unerwione. To jest straszny ból. Nikt jej nie dał środka przeciwbólowego, krzyczała całą noc z bólu. Trzecia noc, to ta, w której naszą znajomą przyprowadzili z bunkra. Krzyczała, wołała swoje dziecko, wiedziała, że już go nie zobaczy. A czwarta to ta, w której krzyczała młoda dziewczyna. Była salową w tym szpitaliku. Po prostu się zdarzało, że któraś z nas była w ciąży i, że na czas jej nie usunęła. Jedną z nich była moja znajoma Genia, jej mąż tuż przed wojną, wyjechał do ówczesnej Palestyny, dzisiejszego Izraela, żeby się rozejrzeć czy tam można będzie wyemigrować. Były to przecież inne warunki. Oboje byli po żydowskim gimnazjum. Po wyjeździe męża ona była sama. Potem mi powiedziała: „Sam to może być tylko kamień”. I po prostu zeszła się z takim młodym chłopakiem, z młodym bratem mojej dużo młodszej koleżanki, więc on od niej był o lekko 10 lat młodszy. I po prostu była w ciąży. Jak mogła, tak starała się ściągać czy nosić luźno płaszcz no ale wiadomo, że jak jest w ciąży no to musi być poród. I urodziło się dziecko w tym obozowym szpitaliku. Szperling mógł w jakiś sposób uspić to dziecko, tak jak się usypia chore pieski, ale on zmusił tą dziewczynę, która była w charakterze salowej, żeby utopiła dziecko Geni. Żeby wzięła oseska za nóżki i zanurzyła główkę w wiadrze z wodą. Dziewczyna nie chciała. Powiedział jej: „Jak Ty tego nie zrobisz to ja zawołam Niemca, on Cię zabierze i zastrzeli”. I ona to zrobiła a potem calusieńką noc krzyczała. Myśmy nawet nie miały do niej żalu. Wszystkie byłyśmy gotowe krzyczeć razem z nią. Czy to sobie można wyobrazić, żeby wziąć oseska za nóżki i za koc i utopić w wiadrze z wodą?! Żeby to musiała zrobić Żydówka, że to było żydowskie dziecko? Niemcy przecież wywozili dzieci, czy roztrzaskiwali im główki o słupy. Mój znajomy, który potem zmarł w Izraelu, widział to w Drohobyczu. Ona знаła przecież tą matkę i to dziecko, to małe krzyczące dziecko... Jeszcze dzisiaj nie mogę... Po wojnie Genia, której oseska utopiono, wyjechała do Izraela, przyjechał po nią mąż i urodziła w Izraelu jeszcze zdaje się dwoje dzieci.

W dwóch obozach razem było tylu więźniów ile zostało po akcji deportacyjnej, czyli chyba z pięć tysięcy. Na Rakowie było bardzo mało osób. Z obozu na Rakowie uciekł mój kolega, którego pielęgniarka, katoliczka, gdzieś tam, poznała i wyprowadziła w jakiś sposób przechowywała u siebie w szafie. Po wojnie pobrali się, mieli córkę. On później zmarł, ona jest zdaje się w Warszawie, ta córka jest w Paryżu. Pięknie śpiewa, śliczna dziewczyna. W dalekim kuzynie mojego ojca, adwokacie, zakochała się kobieta katoliczka, która postanowiła go uratować. Mieszkała w swoim domu. Sprowadziła go do siebie i z pieca kuchennego, takiego jak to były dawniej duże z białych kafli, wybrali wszystko. W piecu powinna być przegroda, bo były zawsze cztery fajerki, on tam wchodził do tej części, z której wybrali wszystko i tam siedział. Oczywiście ktoś zadencjonował i ją wezwali do gestapo. On

zorientował się, że jak ją wezwali do gestapo, to w czasie jej nieobecności przyjdą i zrobią rewizję. Wlażł do tego pieca, położył sobie fajerki na głowie i nie znaleźli go.

Po tej wojnie mam niezłomne przekonanie, że jest przeznaczenie i tylko to się liczy w najdziwniejszych sytuacjach. Wszystkich ułomnych wyciągali z szeregów i likwidowali od razu. Jeden z naszych znajomych, kuzyn mojej kuzynki, straszliwie garbaty, adwokat, przeżył. Raz go odstawili, już siedział w bunkrze odstawiony do likwidacji, wyciągnęli go stamtąd i przeżył. Inny był kulawy i przeżył. Przechodził jakoś przez wszystkie selekcje i przeżył. Po wojnie pojechał na szaber na Dolny Śląsk i Ruscy go zastrzelili. A ten adwokat garbaty wyszedł, żonę stracił. Ożenił się powtórnie, bo ona też straciła męża w obozie, mieli pięknych dwoje dzieci. Jeden syn jest w Stanach, córka w Izraelu, a oni wyemigrowali do Danii. On tam zmarł, a ona jest w Danii. W obozie rodzina z dzieckiem małym Dadusiem przeżyła wojnę. Mąż przychodził do niej i mówił: „Komisja idzie! Schowaj go! Schowaj go!”. Krzyczał, bił ją. „Schowaj go! Dobrze go schowaj!”. Tym zawszonym siennikiem przykrywał dziecko, a ono leżało jak myszka, nie odezwało się. Jak myśmy po zmianie wracały z pracy, to ono wychodziło i mówiło: „Dzisiaj żupa – sama woda”. On nie wiedział, co to jest zabawka, on nie wiedział jak wyglądają inne dzieci, ale interesowało go: dzisiaj żupa sama woda. Po wojnie wyjechali z nim do Izraela.

Jeszcze w okresie naszego pobytu w getcie wyszliśmy z domu i podszedł do męża człowiek, który powiedział, że go zna z widzenia, zna go ze słyszenia od innych robotników, że wszyscy go bardzo chwalą. To spotkanie było nad rzeką Wartą. Mówi: „Ja tędy chodzę do domu. Widzi Pan tam daleko, daleko taki punkcik? To jest mój domek. Jak będziecie wiedzieli, że już jest bardzo źle, przyjdźcie, ja was schowam. Ja nic nie chce”. Po tym, jak zabili moją siostrę i szwagra, podczas „akcji” inteligencji, poszliśmy do tego domu. Najmłodsza siostra nie chciała, została w getcie. Ale później, pojedynczo, wyszliśmy z getta i wyjechaliśmy do Warszawy, do Wawra. Jak nam już wszystko zabrali w tym Wawrze, wróciliśmy. Ten, który nam wszystko zabrał nazywał się Leopold Mazurkiewicz. Poznałabym go wśród tysięcy, bo miał skancerowany palec. Wszystko nam zabrał, pieniądze, rzeczy. Ja powiedziałam: „Niech Pan odda mężowi jesionkę! Jak Pan nam nie odda, to my się kładziemy tu na szynach i niech nas zabije pierwszy pociąg! Nigdzie nie pójdę bez tej męża jesionki!”. I oddał Nam tą jesionkę. Znajomy brata szwagra mojego męża. Jak on się nazywał, już nie pamiętam. Był w NSZ-cie, był jednak porządny, był wyjątkiem. On dał nam w 1943 roku takie kwity, że wpłacone są pieniądze na kennkartę. Kennkarta to były dowody tożsamości w czasie wojny. Nam Żydom nie dawali przecież kennkart, dawali je tylko Polakom. Jechaliśmy pociągiem z Warszawy do Częstochowy, bo co mieliśmy zrobić jak już nam wszystko zabrali. Siostra jeszcze została tam u szwagra. Było to w Wielkim Tygodniu, myśmy wyjechali w poniedziałek, jak się zaczynało powstanie w warszawskim getcie. Nie wiedzieliśmy przecież, że tam się coś dzieje. W pociągu słyszemy rozmowy: „Bardzo im dobrze! Może ich wyduszą, może ich spalą, może ich zamordują”. To te k... mówiły: „Te Żydówki wyrzucają swoje dzieci przez balkon. Tylko Żydówka może wyrzucić dziecko przez

okno!”. One je wyrzucały, jak się paliło dookoła. A myśmy musieli robić dobrą minę. I w pewnej chwili, jechała też taka starsza pani, myśmy przecież byli młodzi, podeszła do Nas, jeszcze chyba w Warszawie na dworcu i mówi: „Czy Państwo pozwolą, że pojedę tak razem z Wami? Bo sama jestem, tak mi jest jakoś nie swojo”. Żeby wiedziała, do kogo się zwraca o tą pomoc, to by ją pewnie odgoniło. My powiedzieliśmy: „Proszę bardzo!”. Nam było na rękę taka starszka aryjska. I wsiedliśmy razem do przedziału. A wcześniej jeszcze na dworcu mąż zobaczył jednego poznaniaka. No poznaniacy też mieli swoją opinię, przeważnie wszyscy byli antysemitami, endecy, ale ten nawet z mężem pracował w czasie okupacji i spojrzał tak na niego i odwrócił głowę. Udawał, że go nie widzi. Proszę sobie wyobrazić, czego można się było spodziewać, jeżeli takie stanowisko zupełnie obiektywne, nie złośliwe, to już było dobrze to, że on udawał, że nie widzi to już było bardzo szlachetne z jego strony. Wsiedliśmy do pociągu z tą starszą panią, ludzie cieszyli się wprawdzie, że pali się getto, ale byli wystraszeni to był Wielki Tydzień, więc wieźli szynkę, spirytus, bimber na handel i dla siebie na święta. I w pewnej chwili, gdzieś koło Koluszek, ktoś przyszedł i powiedział: „Niemcy chodzą! Kogoś szukają!”. I te wszystkie kobiety zaczęły pod ławki pakować, co wiozły: wódkę, szynkę, pospółkę. Wtedy to nie była szynka, pospółka, czyli wieprzowina krojona tak jak leci. „Nie bójcie się! Oni nie wódki szukają”. Przyszedł drugi i powiedział. „Oni Żydów szukają”. A myśmy mieli tylko te dwa pokwitowania żeśmy wpłacili na kennkartę. I wchodzi Niemiec z Polakiem, który tłumaczy: „(Ausweiss kennkarten)?”. Więc ja daję mu spokojnie ten kwit. „(Das ist keine ausweiss)?”. Ja udałam obrażoną. „Nie mam innego! U Nas w Wawrze, wywieszają kartkę w kościele z nazwiskami tych, którzy się mają zgłosić po kennkarty. Ja mam wpłacone. A wczoraj w kościele jak byłam, to nie było żadnej, nie było wywieszanej. Od męża wziął i też powiedział, że nie. Myśmy byli pewni, że już nas wyprowadzą. Nikomu nie kazali pokazać swojej walizki tylko nam, przejrzał wszystko i zostawił i poszedł. Bo takie było przeznaczenie. Przecież mógł nas wyciągnąć. I dojechalśmy, już byliśmy prawie w obrębie Częstochowy i zatrzymaliśmy się pod semaforem, był podniesiony, sygnalizował, że nie ma wjazdu i ja mówię: „Wiesz, tu można by wysiąść i tędy iść do wujostwa”. No, bo udawaliśmy, że jedziemy tutaj z Warszawy do wujostwa na święta. Mąż mówi: „Nie, nie będę przez pola chodził. Pójdziemy normalnie przez stację”. Pomyślałam sobie, że na stacji nas może ktoś poznać. Wsiedliśmy na stacji. Tych wszystkich Polaków, którzy wysiedli, bo chcieli mieć bliżej i wieźli zakazane rzeczy – bimber, czy tą pospółkę mięso, wszystkich wyłapała w tych czarnych mundurach niemiecka straż kolejowa. Wszystkich wyłapali, a myśmy poszli normalnie na stację i stamtąd spokojnie, spacerkiem poszliśmy do tych ludzi, u których wcześniej byliśmy. Tymczasem oni wzięli już innych Żydów, którzy im zapłacili za to pieniądze, zafundowali sobie nawet podłogę w pokojach, a przedtem mieli tylko klepisko. Teraz była u nich taka gruba rzeźniczka z dwiema dziewczynkami i z bratem. Ten brat był w jarmułce, nie pamiętam czy miał pejsy, ale chodził w tej jarmułce. W tym domu była jakby drewniana ścianka, za którą trzymali zapasy siana, czy czegoś tam, bo mieli krowę. Ta rodzina żydowska zapłaciła

gospodarzom a oni zrobili „bunkier”. Pewnego dnia Żyd, który się ukrywał zeszedł z góry po drabinie przynieść nam zalewajkę. My mieliśmy jeszcze srebrne nakrycie moich rodziców, zostawiliśmy je do użytkowania gospodarzom, którzy nas za to żywili. Siedzieliśmy wszyscy, jedliśmy tą zalewajkę, jak normalnie robiliśmy to rano i nagle na ścieżce, która prowadziła prosto do wrót stodoły, bo siedzieliśmy w stodole, zobaczyliśmy człowieka w kapeluszu. Mąż go z daleka poznał, wychował się z nim w jednym domu. I mówi: „Idzie Kozłowski”. On wszedł. Nie było mowy, żeby zdążyć uciec na górę. Była tam sieczkarnia i taki jakby płotek. Za ten płotek z sianem, zdążyliśmy jeszcze wskoczyć. Kozłowski wszedł mówi od razu na ty: „Co Ty tu robisz?”. „Jem zalewajkę”. No, a co mu miał powiedzieć, że co robi!? I on zajrzał za ten płotek poznał mojego męża i mówi: „Fredek a co Ty tu robisz?”. I wyciągnął męża. To ja też stamtąd wyszłam. I jak ci Żydzi zorientowali się, że to jest znajomy, który zna męża, że to jest jego kolega, to mówią: „Panie Proskurowki, tu Pan ma pieniądze, niech mu Pan da, tylko niech on nas zostawi w spokoju”. Mąż mówi: „Słuchaj Władek. Masz tu pieniądze i nie mów nikomu, żeś nas tu widział”. „Nie! Ja bym nie mógł od ciebie wziąć. Po wojnie ty byś powiedział, że ja Polak, od ciebie w takiej sytuacji wziąłem pieniądze!”. „Weź, weź”. Nie wziął. Poszedł. Odjechał kawałek rowerem. Wrócił. I mówi: „Wiesz, daj te pieniądze”. Wziął te pieniądze, potem wszedł do tych gospodarzy i powiedział im: „Słuchajcie! Jak wy się nie boicie Żydów tu trzymać? Przecież Oni was zamordują jednej nocy!”. Na wszelki wypadek, rodzina żydowska, te cztery osoby, dwie dorosłe i dwie dziewczynki wyszli. Wyszli i poszli, bo mieli naszykowany jeszcze drugi bunker, do którego się wchodziło przez chlew, w którym stała świnia. To było trochę dalej na przedmieściu Częstochowy na Wyczerpach, tam ich potem Niemcy znaleźli i zabili. A my leżeliśmy w życie. Był to czerwiec, i żyto jeszcze nie było ścięte. Gospodarze, u których byliśmy, przynosili nam jedzenie. Gospodarz chodził do pracy do „Enro” tam, gdzie mąż pracował przed wojną, gdzie pracował teraz Kozłowski. Kozłowski, oprócz Niemców, opowiedział wszystkim robotnikom: „Tam u tego Siwka ukrywają się Proskurowscy. Oboje tam siedzą”. Nikt nas nie wydał. Ale przyszedł jednego dnia Siwek i powiedział: „Słuchajcie!”. Przyszedł wieczorem po drugiej zmianie. „Przyszedłem najpierw do was, nie chcę, żeby moja żona wiedziała, bo kobiety się boją, będzie jej chodziło o nasze dzieci, będzie się bała, ale musicie wrócić do tego żyta, albo musicie gdzieś iść, bo w fabryce wszyscy o was wiedzą. Kozłowski wszystkim powiedział”. Następnego dnia, była taka kładka przez rzekę, nad brzegiem Warty, tam dwaj partyzanci zabili dwóch Niemców. I wszędzie dookoła szukali tych partyzantów i musieliśmy wrócić. W nocy weszliśmy przez okienko do klejarni, tej, w której mąż przedtem był kierownikiem. Szczury latały tam takie duże jak psy. No, bo na tych resztkach, na odpadach, na surowej skórze się żywiły. I wróciliśmy tam pod osłoną nocy do obozu. I stamtąd poszliśmy do małego getta i z małego getta do obozu. 20 czerwca była likwidacja getta, wróciliśmy po paru dniach, gdzieś około połowy czerwca do getta. Pamiętam, że wpadła mi w ręce gazeta, raczej kawałek gazety, w której była lista katyńska i znalazłam w niej nazwisko męża przyjaciółki.

Już wówczas nie mieliśmy żadnych fałszywych papierów, nie były potrzebne. Zlikwidowaliśmy, już nie było, po co mieć papierów, bo za to też groziła śmierć. Mieliśmy je tylko na czas podróży. Te papiery, które myśmy mieli, to nie były na to nazwisko, na które były kwity na kennkarty, czyli i tak musieliśmy z nich zrezygnować. Więc powiedzieliśmy, żeśmy swoje oddali, bośmy wpłacili na kennkarty i mamy tu właśnie kwity. A tamtych już nie mieliśmy, tamtych papierów. A potem to już i tak wszyscy wiedzieli, kto jesteśmy.

Złą sławą cieszyli się wszyscy Niemcy. Poza tym jednym dyrektorem Lidtem, który był dyrektorem naczelnym. Był jeden podły majster, już nie pamiętam jak się nazywał, który w nocy jak ktoś zasypiał przy maszynie, a zasypiało się z głodu, zaprowadził na wachę (wartownię), kazał maszynką taką do golenia wygolić, na zero, jednej krzyż, drugiej pół, czwartej ćwiartkę głowy. I ten dyrektor administracyjny, nazywał się na B, ale nie pamiętam, (Bredszlajder), przyszedł, zobaczył te kobiety w taki okropny sposób wygolone i zaczął szukać, kto im kazał. „Wyście się tak ogoliły?”. „Nie, tamten (Hermaister) kazał tak się wygolić”. I on, przy tych wszystkich żydowskich więźniach, zrobił mu awanturę, że to nie jest żaden cyrk, tylko to jest obóz pracy, gdzie wszyscy mają pracować poważnie dla Rzeszy i dla zwycięstwa, więc nie ma sensu robić z ludzi takich błaznów. I ten, któremu on zrobił przy wszystkich awanturę, odebrał sobie życie, zastrzelił się.

Były różne też ciekawe momenty, w obozie spotkałam dziewczynę, która pochodziła z jakiegoś małego żydowskiego miasteczka, miała 16 lat i jak ją przywieźli do obozu to ona pierwszy raz w życiu jechała koleją. Była z takiego jakiegoś wygwizdowa. Pierwszy raz w życiu jechała koleją. O czymś mi mówiła, o jakiś okapach nad tym, żeby para z koszerne go garnka nie łączyła się z parą z trefnego garnka, czy z mięsne go garnka do mleczne go garnka. Ja słuchałam, jak o żelaznym wilku. I pytam się jej to o to, to o tamto, a ta mówi: „Ty nie jesteś żydówką?!”. „Jestem!”. „Ale nieprawdziwa”. „Najprawdziwsza. Stuprocentowa, na wszystkie strony”. „Dlaczego Ty tego nie wiesz?”. „Bo mnie nie nauczyli”. „A jak było u Twojej mamy?”. „Nie było okapów i nie było potraw koszerne ych, tylko się jadło wieprzowinę”. „A u Twojej babci?”. Potem jak już się wszystkiego dowiedziała, mówi tak: „Wiesz, co? No, chociaż powiedz, że jesteś z mieszane go małżeństwa!”. „Nie jestem. Ja miałam żydowskie rodzi ców oboje”. Więc bardzo różny element był, bardzo różnie pomieszany. Transportem z łódzkie go getta przyjechała kobieta, która mówiła, że jest Niemką, stuprocentową aryjką. Miała żydowskie go męża i przez niego trafiła z Berlina do łódzkie go getta, już nie pamiętam, w jaki sposób. Poszła do Niemców powołała się, że ona jest Niemką. To powiedzieli: „Ty jesteś sto razy bardziej warta śmierci niż ci wszyscy Żydzi! Żeś Ty mogła iść z Żydem do łóżka, żeś go nie zostawiła. Przeżyła.

Na przykład u nas wszystkie, które mogli, dzieci powystrzelali, a ze Skarżyska jak przywieźli Żydów, to tam było kilkoro dzieci, pozwolili im mieć te dzieci, chociaż tam był też jakiś wyjątkowy sadysta, a tym dzieciom pozwolił zostać. Niczego nie można było przewidzieć.

W obozie były też komiczne momenty. Nade mną spała bardzo ładna dziewczyna, blondynka, mężatka, ale ona w obozie znalazła sobie kogoś innego i gdzieś się tam wymykała do niego. Mówiła fatalnie po polsku. Była w obozie woda, w której nie wolno było myć puszek, w które się brało jedzenie, bo to była woda z jakichś sadzawek, które tam były wykopane. Ale była też woda wodociągowa i ją uruchamiano w czasie tej przerwy, kiedy nam dawano jeść jak byłyśmy na przykład po nocnej zmianie, bo to była woda wodociągowa, czysta. Dziewczyna była po nocnej zmianie i ja byłam po nocnej zmianie, ona się wychyla z pryczy i pyta tak: „Pani Proskiorska, czy Pani do bykacji, do ślaufu, umyć pyśke?”. To były jedyne chyba komiczne momenty. Przeżyła i wyjechała z tym drugim z obozu do Australii. Inny przykład – Żydzi próbowali mówić po polsku. Były też takie panie, nobliwe panie. Jedna była nawet dobrą znajomą mojej mamy. Obie żony adwokatów, spały naprzeciwko mnie i czasami bardzo się kłóciły. To jedna drugiej przesunęła siennik to druga tej pierwszej coś tam zrobiła. Jedna do drugiej mówi: „Przecież twój mąż chodził najpierw ze mną!”. „No, ale ciebie zostawił dla mnie!”. Prowadziły tego rodzaju rozmowy. Cały barak się schodził w jedno miejsce, żeby tego posłuchać. Kina nie było, teatru, telewizji, smutno było bardzo, więc chociaż jak się ktoś kłócił to można było przy tej kłótni ubawić się.

Wyzwolenie obozu nastąpiło 17 stycznia, część Polaków nie przysła już do pracy, więc wiedzieliśmy, że coś się dzieje. Mogliśmy się tylko domyślać, że coś się dzieje. Słyszeliśmy z daleka jakieś odgłosy strzałów. Ten obóz był tam, gdzie jest „Wełnopol”, na przedłużeniu alei Wolności – ul. 1 Maja. Rosjanie szli od strony ul. Warszawskiej. Niemcy byli od rana strasznie podenerwowani, byli wściekli. Rano ja miałam iść do tego mojego „Labor”, do pracy, a byłam po nocnej zmianie. Mąż miał wówczas zawsze tylko dzienne zmiany. Kiedyś zaczął go Niemiec, inżynier, spojrzął na niego w jakimś przejściu i powiedział: „Słuchaj!”. Po niemiecku. „Ty wyglądasz na takiego, co się zna na rysunku technicznym. Jakie ty masz wykształcenie?”. Mąż mówi: „Mam politechnikę, tylko nie ukończyłem”. „No to będziesz pracował tam”. I mąż nawet dosyć dobrze był widziany przez tego swojego majstra. Ktoś przyszedł z placu barakowego i powiedział mężowi, że mnie odstawili do wysyłki. Ja w tym czasie byłam po nocnej zmianie na terenie obozu, chociaż powinnam spać. Ja, jak zawsze cały czas bardzo się bałam, wtedy jakoś zebrałam się na odwagę i w jakimś momencie stamtąd smyrnęłam. Włazłam do baraku, nawet nie do swojego, i wlałam pod taki zawszony, brudny, zapluskwiony siennik i leżałam pod nim jak mysz pod miotłą. Ktoś poszedł do fabryki, już nie wiem, w jakich okolicznościach i spotkał mojego męża, powiedział, że: „Twoja żona jest odstawiona do wysyłki”. Mąż poszedł do tego swojego majstra i prosił, żeby mnie wyciągnął. On był wściekły, strasznie go pobił, pokopał, bo już przecież wiedział, że muszą uciekać. Ktoś powiedział mi: „Słuchaj wyłaż już spod tej pryczy. Te, co leżą pod siennikami niech już wychodzą, bo Niemcy uciekają!”. Ja siedziałam tam pod tym siennikiem, jak spod niego wylałam, widzę, że ludzi rozpuścili z pracy i że idą długim szeregiem, idą z pracy, wszystko wraca na teren barakowy. Wszyscy idą, mojego męża nie ma. Szedł na samym końcu. Mówię: „Dlaczego już wszyscy

wyszli...?”. „Bo ja myślałem, że nie mam już, po co wracać, że ciebie wywieźli!”. W nocy rozdzielili nam ostatni chleb, jaki był. I od nas przez ogrodzenie było widać, że oni z kuferkami, z tobołkami i z tym wszystkim uciekają na kolei. Skrzynki drewniane kazali sobie wcześniej porobić. My byliśmy w obozie. Jeszcze wcześniej jeden z Niemców powiedział, że kto chce uciekać, to może z nim uciekać. I byli tacy Żydzi, którzy z nim wyszli i ci się wydostali na zachód. Część trafiła do obozów moja koleżanka, była w Ravensbruck tam złapała gruźlicę, zmarła. Mężczyzn wywieźli do Mauthausen. Ludzie zaczęli przechodzić przez rzekę Stradomkę, która płynęła obok obozu. Gdzieś przez tą wodę przechodzili. Ja powiedziałam jednak, jak mamy przechodzić przez wodę, jest ciemno, zimno, mokro, jeszcze się potopimy. Poszliśmy do bramy, szła za nami kupa ludzi, która była nie z Częstochowy, powiedzieli, że od nas nie odejdą, że oni nie znają Częstochowy i nie wiedzą gdzie mają pójść. I podeszliśmy do bramy, mąż zaczął walić w tą bramę i mówił: „Otwórzcie nam!”. Przy bramie siedzieli polscy strażnicy i bali się, że Niemcy wrócą a oni będą odpowiadali za to, że wypuścili Żydów. Myśmy przy bramie bardzo łomotali i strażnicy nas wypuścili. Po wyjściu zobaczyliśmy, że z wszystkich stron się pali, niebo było czerwone, słychać było strzały. Tu się pali, tam się pali, żywej duszy nie ma, a my idziemy sobie. I przeszliśmy kawał drogi, z 1 Maja wzdłuż całej Alei Wolności, dochodzimy do skrzyżowania wolności z Alejami, czyli z tą główną ulicą. Idzie grupa Niemców w mundurach i pytają się: „Kto wy jesteście?”. Na przedzie szli tacy, którzy mówili po niemiecku, między innymi mąż, mówią: „My jesteśmy Żydzi z obozu”. „A wyście uciekli?”. „Nie, nas wypuścili. Kazali nam iść”. „A czy wy chcecie zostać i czekać na Rosjan, czy wy chcecie iść z nami?”. „Nie. Tylko z wami! Tylko z wami!”. Jak to, tak ich kochamy, tylko z nimi. To oni mówią: „Bardzo dobrze. To idźcie za nami. Wy wiecie gdzie jest (Wu ist Schwarzen Madonna)?”. Bo myśleli, że my w ogóle nie wiemy, co to jest Jasna Góra, chodziło o zachód. Jasna Góra jest na zachodzie Częstochowy. I oni poszli szybciej, bo oni uciekali, a myśmy szli za nimi powolutku, coraz wolniej, coraz wolniej, coraz wolniej i potem poszliśmy przed siebie i wyszliśmy. Chcieliśmy iść do kolegi męża, ale tam była zamknięta brama, bo oni wszyscy siedzieli w piwnicy. Weszliśmy do jakiegoś innego domu. I jak się rano rozwidniło, to mieszkańcy tych domów zobaczyli, że mamy pomalowane pasy. Malowali nam olejną farbą pasy na okryciach, na wszystkim. Powiedzieliśmy tym mieszkańcom, że tam po drodze leżą walizki, które rzucili ci, co gdzieś uciekali. Sprawdzili czy Niemcy uciekali, trzymali nas przez pół dnia, żeby pozbierać te walizki. Potem wyszliśmy, weszliśmy do domu przy ul. Kilińskiego 28, skąd nas wyrzucili Niemcy. Chcieliśmy zająć jakieś puste mieszkanie. Były tram niemieckie szynele, powkładaliśmy je na siebie, bo było nam zimno. Rano przyszli Rosjanie i kazali wszystko oddać sobie, bo to jest ich, „trofiejne”. Trochę nie składnie to wyszło. To mi się przypomina coś z obozu, a to coś z wcześniejszego okresu.

Zajęliśmy pokój razem z jedną dziewczyną, która rozpoznała tego Łotysza, w drugim pokoju mieszkało małżeństwo. Zaczęli przychodzić do nas ludzie, którzy gdzieś tam się przechowali. Wszyscy cieszyliśmy się sobą bardzo. Pytaliśmy o tych, których brakowało,

brakowało większości. Mąż poszedł z mężczyzną, z tego małżeństwa, które mieszkało z nami, i zrobili szpital w jednym z domów mieszkalnych. Poprzymosili łóżka polowe, takie jakies żelazne, żebyśmy mieli miejsce do spania. Nie mieliśmy nic. Mąż spotkał swojego dawnego gospodarza domu, jego brat miał ten dom, powiedział, że tu jest wolne mieszkanie. Bo tu była niemiecka dzielnica, więc tu się opróżniły wszystkie mieszkania i zajęliśmy mieszkanie. Po prostu zajęliśmy mieszkanie. Mąż spotkał jakiegoś innego kolegę, który pracował w kwaterunku. On nam dał przydział. Potem spotkał kogoś, kto nam przyniósł pierwsze łyżki, czy pierwszą poduszkę. Kiedyś spotkał kogoś, kto mieszkał w tym samym domu, co mieszkał jego (treuhänder), ten, u którego na początku pracował. Tamci Niemcy puciekali i została służąca, a oni mieli narabowane tyle, że służąca dała nam pierwszą kołdrę i poduszkę. Potem zaczęłam szukać siostry. O tej jednej wiedziałam, że już nie żyje, ale myślałam, że żyje ta druga. Kuzynka znalazła jednak w Krakowie, na liście PCK, jej nazwisko, że zginęła. I wtedy można było emigrować. Wtedy trzeba było emigrować. Ale mąż zadarł z partią i zaczęli go się czepiać. Raz go aresztowali, drugi raz go aresztowali. Straciliśmy wszystko, co żeśmy mieli. Pracy nam nie chcieli dać. Nie było jak wyjechać. Mąż zaczął pracować w spółdzielczości i pracowaliśmy oboje.

Mąż był bardzo zdolny, zaczął organizować pracę tam, gdzie przedtem pracował. To oni przyszli to zabrać. Raz im oddał, drugi raz. Potem przyszli, ponieważ mąż zorganizował spółdzielnie pracy, a im był potrzebny etat prezesa w tej spółdzielni dla jakiegoś partyjnego. I mąż powiedział: „To już jest bandytyzm!”. No to go zamknęli. Zabrali nam przecież pół mieszkania. Ale i tak trzeba było wyjechać. Nie wiem gdzie lepiej, ja wiem, tak czy tak. Klimat jest w Izraelu ciężki, to nie ma, o czym mówić.

Później życie toczyło się dalej: pracowaliśmy, chorowaliśmy, mąż z osiem razy leżał w różnych szpitalach, już nie mówiąc o sanatoriach. Stale było coś, stale było coś. Potem dostał cukrzycę, tą cukrzycę miał prawie 30 lat i organizm był tak zniszczony, że jak przyszedł rak płuc, to nie dał rady. U starszych ludzi rak płuc trwa dłużej. Powoli przebiega, można żyć z tym. Ale nie jak jest organizm zniszczony cukrzycą.

Podczas wojny zginęli rodzice, zginęły siostry. Wszyscy zginęli. Ja nie mam nikogo. Absolutnie. Stryjeczny brat przeżył oflag, wyszedł z oflagów. Przerzucali ich w tych oflagach z miejsca na miejsce. Jak mi opowiadał, to były takie oflagi, w których sobie nie życzyli, żeby spać w jednej sali z Żydami, z kolegami – Żydami, z którymi walczyli razem na froncie. I przerzucali ich. Po wyjściu z tego oflagu spotkał swoją obecną żonę. Najpierw ożenił się z jakąś żydówką, którą wywieźli z Jugosławii, potem się rozeszli i spotkał tą swoją obecną żonę. To znaczy obecną już nie jest, ona już nie żyje. Ona uciekła z getta, brała udział w powstaniu warszawskim, doszła do stopnia oficerskiego. Te kobiety, członkinie AK, które były oficerami, wywieźli gdzieś oddzielnie, do jakiejś oddzielnej niewoli. I tam znalazła się jej szkolna koleżanka, która powiedziała: „A co ty tu robisz w obozie jako jeniec AK? Przecież ty jesteś Żydówką! Jakim prawem?”. I poleciała do ich komendantki, która powiedziała: „Nie ma żadnych różnic, Żydówką, nie-Żydówką. Wszystkie jesteście

oficerami AK i wszystkie walczyliśmy w powstaniu”. Ale ona przezornie uciekła. Gdzieś się tam też objęła, no i potem gdzieś spotkała mojego stryjecznego brata i pobrali się. Wyjechali do Stanów. Ten stryjeczny brat w 1939 roku zdał maturę. W 1939 roku, jak kazali uciekać z Warszawy, bo nawoływał do tego taki podpułkownik, żeby mężczyźni uciekali na wschód przed Niemcami. I on też wyjechał, dostał się do Lwowa, tam spotkał kuzynkę z córką, ich mąż był zmobilizowany jako lekarz oficer rezerwy. Były peowiak, były legionista, i był pod ich opieką. Uciekł potem, przeszedł przez Karpaty, dostał się do Budapesztu i był pod opieką kuzyna, który był komendantem szpitala. I jemu też uciekł, bo on chciał koniecznie walczyć. I przedostał się przez południe Europy, aż się dostał do armii, która walczyła w Francji. Ta armia polska, walczyła z armią francuską na linii Maginota. Po upadku Francji ich wszystkich internowali w Szwajcarii. Tam skończył chemię, bo był taki obóz dla uczących się. Wrócił z gruzlicą i z dyplomem. Z jakimś drugim kolegą chodzili do lasu i zorientowali się, że Szwajcarzy nie zbierają rydzwów, nie wiedzą, że rydze to są jadalne grzyby. Więc oni zaczęli te rydze smażyć, marynować, pokazywać im tam po różnych restauracjach, że to jest jadalne i zebrali trochę pieniędzy. On jeszcze zdążył rodzicom paczkę żywnościową tu przysłać. No, ale rodziców potem wywieźli. Wrócił stamtąd, chociaż mógł jechać do Stanów Zjednoczonych, tu się ożenił i został. Żona zmarła w styczniu tego roku, on też zmarł, została córka. Siostra ojca była w Berlinie, mieszkała w Berlinie, bo wyszła za mąż za niemieckiego Żyda. I oni mieli, tzw. kwoty emigracyjne, byli objęci ostatnią kwotą emigracyjną na emigrację do Stanów Zjednoczonych. Ponieważ już byli w tej kwocie emigracyjnej przewidzianej do wyjazdu, to Joint, czy jakaś inna charytatywna organizacja żydowska, wynajęła okropną rybacką łajbę i tych ludzi wieźli, przez szereg tygodni płynęli do tych Stanów Zjednoczonych. Z jakiego wybrzeża oni ich z Berlina wywieźli?! Z hiszpańskiego czy z francuskiego portu? Już nie wiem. Ale szereg tygodni płynęli. I dawali im jakieś zgniłe ryby, wszyscy się pochorowali. Byli na Kubie na kwarantannie. Dostali się do Stanów i tam poumierali. Ja nie mam żadnej rodziny. Z rodziny mojej matki ocalał tylko jeden kuzyn, który był ochrzczony jako dziecko. Był pod swoim własnym nazwiskiem podczas wojny, bo była taka możliwość. Teraz jest w Londynie. Ma całą rodzinę angielską. Nazywał się Zajac. Bardzo dobre nazwisko, zmienił je sobie na angielskie. Chcą żebym przyjechała na Boże Narodzenie, bo cóż tu będę siedziała sama. Jeszcze zobaczę.

Mój mąż miał stryja, najmłodszego brata swojego ojca, który jako młody chłopiec poznał jakąś kobietę dużo od siebie starszą, katoliczkę. Namówiła, żeby się ochrzcił i z nią ożenił. I on to zrobił i pod swoim nazwiskiem jako Proskurowski mieszkał chyba w Zduńskiej Woli czy w Pabianicach. Miał jedną córkę z tą kobietą. I jak wojna wybuchła to ta córka, już wtedy mężatka, została sama, bo mąż, z którym miała już czworo dzieci, poczuł w sobie zew germańskiej krwi i powiedział, że on jest (volksdeutschem) i z Żydówką nie będzie siedział, z pół krwi Żydówką i zostawił ją. Kobiety wygnały ojca i męża. Przyjechał do Częstochowy, wiedział, że tu ma brata. Cała rodzina wyrzekła się go. Tak po cichu to oni jemu pomagali. No, ale tutaj już było getto, jak on tu przyjechał to nie miał, co szukać tych

kilku swoich braci. Przygarnęli go ojcowie Paulini. Chodził po domach i czymś handlował, taki domokrążny handel uprawiał. I przyszedł do jednego lekarza, który mieszkał wtedy chyba na 7 Kamienic i chciał mu coś sprzedać, jakieś grzebyki, pasty, czy coś. Ten lekarz powiedział mu: „Wie Pan, co? Dzisiaj nie kupię, niech Pan przyjdzie jutro”. Ten zadowolony, przyszedł nazajutrz, Niemcy już czekali, zastrzelili go w bramie. Po wojnie przyjechała do nas kobieta z dziewczynką, której żeśmy wcześniej nie znali. „Ja jestem Twoja kuzynka”. Mówi do męża. „Tutaj zginął mój ojciec”. Ja myślałam, że ona przyjechała po jakieś dokumenty, papiery, które jej były potrzebne, a ona po prostu uważała, że jak Żydzi, to na pewno mają furę pieniędzy. A myśmy wtedy mieli łóżko i tapczan, który zapluskwiony zostawili nam poznaniacy i nic żeśmy nie mieli, żeby jej pomóc. I ja mówię: „Czy Ty chcesz jakieś dokumenty, że twojego ojca tu zabili?”. „Nie”. Ona mówi: „Którędy się idzie pieszo do Pabianic?”. „Ja nie chodzę pieszo do Pabianic. Nie wiem którędy się idzie”. Więc coś żeśmy jej tam wyściubili i posłaliśmy ją do domu. Potem, co jakiś czas jeszcze się zjawiała. Podobno później zmarła. W ostatnich kilku latach mąż pracował tam pod Jasną Górą na ulicy 7 Kamienic. Był kierownikiem biura projektowego gier planszowych. Wymyślał przeróżne gry planszowe i miał kilku plastyków, którzy robili te projekty. Najpierw należało to biuro do spółdzielni „Udziałowa”, a później do spółdzielni w Gliwicach. Jak zaczął pracować na tej ulicy 7 Kamienic, przyszedł do niego ojciec Paulin, staruszek i mówi: „Dowiedziałem się, nie wiem skąd, że tutaj pracuje pan Proskurowski”. „Ja jestem Proskurowski”. I opowiada mu tą historię o stryju, któremu oni podobno mówili, że mu dadzą jeść, żeby tylko się nie kręcił po mieście, ale on ich nie słuchał i Niemcy go zastrzelili. I ci Paulini, zaraz po wojnie, oskarżyli lekarza przed, nie wiem czy jeszcze wtedy było NKWD, czy już było UB, że on wydał człowieka na śmierć, i że Niemcy go zastrzelili w bramie na 7 Kamienic. Dostał karę dożywotniego więzienia, gdzieś go wieźli z Częstochowy do jakiegoś innego więzienia i ktoś podał temu lekarzowi truciznę a on otrął się w pociągu.

Czy w Polsce jest antysemityzm? Jest 1996, dwa lata temu był 1994 rok, w Złotym Potoku kelner nas nie chciał obsługiwać. No trzeba więcej?! Kiedy byliśmy tam w tym jego rewirze to, o co prosiłam – bo tam byliśmy to był hotel i restauracja, to schodziliśmy na obiad – nigdy niczego nie było. Ja mówię: „Wiesz, co? Jak oni nic nie mają – mąż był na diecie w związku z tą cukrzycą – nie ma gotowanego, kurczaków, nic nie ma, nie możesz jeść stale smażonych tych pstrągów, ani schabowego. Pójdziemy na dół do wsi, tam jest taka knajpka”. Ale tam było jeszcze gorzej. Jak już wyjeżdżaliśmy stamtąd, wiedzieliśmy, że coś jest grane, jak się mówi, ale nie wiedzieliśmy co. Siedzieliśmy, czekaliśmy, żeby po nas przyjechał znajomy naszym maluchem i podszedł do męża taki starszy kelner, który też tam pracował i mówi: „Pan się nazywa pan Proskurowski i pan jest z Częstochowy, ja pana znam z widzenia”. To nie jest takie duże miasto w końcu, jeszcze śródmieściu to się ludzie znają. Mąż w tylu miejscach pracował. Mówi: „Ten, co wam mówił zawsze, że nie ma, to kłamał. Wszystko w kuchni jest. Nie trzeba było siadać u niego”. Ale przecież myśmy po prostu nie wiedzieli, nie chciałam łązić po całej sali i siadałam gdzie było najbliższe wejście. On

powiedział: „Ja tych Żydów stąd muszę wygnać! Ja nie będę Żydom usługiwał!”. Był 1994 roku, teraz jest 1996 i może być coś takiego? No to przecież już starczy! To przecież chyba mówi samo za siebie. Ciągle, wszędzie, na każdym kroku, gdzie pan pójdzie, gdzie pan usiądzie, a bo to jest takie po żydowsku, a bo to jest takie jak żydowskie. Przecież jak był pogrom w Kielcach, to tutaj też się w Częstochowie zaczęło. Już też było niespokojnie.

W listopadzie 1945 roku pojechaliśmy mężem do Łodzi. Mąż już pracował i kupił z demobilu, jakiś stary samochód, taki stary grat. Jeździliśmy do Łodzi, ponieważ zarząd centralny klejarni, w których mąż pracował był w Łodzi. Mąż był kierownikiem klejarni w Częstochowie; jechaliśmy, bo mąż miał w centrali interes. Ja też jechałam. Jechał z nami też chłopak, który nie miał prawa jazdy, a mąż właściwie zabrał go do tego klejenia gum. Wtedy nie było mowy, żeby kupić gumę jakąś do samochodu, więc się ze sobą woziło klej, łątki, te opony, gumy, wszystko się ciągle po drodze kleiło. Jechał jeszcze z nami taki starszy człowiek, który kiedyś pracował u mojego ojca. Po drodze mieliśmy wypadek. Ja byłam najgorzej poszkodowana. Nasz samochód się zepsuł, ciągnął nas na holu samochód ciężarowy i wpadliśmy do rowu. Miałam potrząskaną miednicę w kawałki, w drobny mak. I dziesięć tygodni wisiałam zawieszona na takich pasach. Tak, że dłuższy czas jeszcze potem nie mogłam dobrze chodzić. Mieszkaliśmy nie tu w tym mieszkaniu, tylko w tamtej klatce schodowej po drugiej stronie bramy na parterze. Mieszkało z nami małżeństwo, jak się dowiedzieli, że coś się dzieje u nas, chociaż wiedzieli, że ja się nie mogę ruszyć, że jestem sama w domu tylko z dwoma psami, że mąż wyjechał, że jest gdzieś w podróży służbowej, to zabrali się i uciekli i zostawili mnie. Myślę, co ja tu zrobię? Coś mi powiedzieli: „Słuchaj, bo tu jest niespokojnie, bo tu coś się może dziać w tych Kielcach”. Ani chodzić dobrze, ani nic zrobić, a jeszcze bałam się, że coś się może dziać na mieście, że mąż nie wiedząc wyjdzie z pociągu na miasto i może wpaść, bo ktoś go może poznać, miał przyjechać wówczas z Łodzi czy z Warszawy. I wzięłam jednego psa, jednego zostawiłam w domu i poszłam daleko na ulicę Krótką, tam mieszkał kolega szkolny czy z młodych lat męża, który w czasie wojny był policjantem. Mąż go wziął do siebie do pracy. Nie mieli jeszcze porządnego mieszkania. Ja poszłam go prosić, żeby poszedł na stację i odebrał męża z pociągu i nie prowadził go do domu, tylko żeby go zabrał do siebie. Ja mówiłam, że muszę sobie jakoś dać radę. A nie chcę, żeby on przechodził przez całe miasto, bo tak było niespokojnie. I dopiero przyszedł następnego dnia do domu. Było niespokojnie.

Pojechałam na wycieczkę Austria – Włochy, zdaje się 24-dniową. Zorientowałam się w hotelu w Rzymie, że jest wycieczka z Izraela. W kibucach oni mają zdaje się zagwarantowane, raz na dwa lata, zagraniczną wycieczkę. Byli to pewnie Żydzi z diaspory. Tacy starzy, mali ludzie. Wśród nich był chłopak. Pewnie był sam. Wysoki, przystojny chłopak, zupełnie jakby zaganiał kurczęta. Ja się strasznie chciałam z nim zobaczyć. Zorientowałam się, że jak ktoś tam zaczął z nimi rozmawiać, to te kołtuny, z którymi ja jechałam, straszne kołtuny obserwowały. Ja siedziałam jak mysz pod miotłą. Myślę sobie, w końcu jadę autokarem, a jak mnie gdzieś wypchną, a jak gdzieś wyjadą i mnie zostawią w

tym obcym mieście?! Który to był rok? Nie pamiętam, który to był rok, chyba 1971 czy drugi. I oni mówią: „Oni by wszyscy wrócili, te żydki, oni by wszyscy wrócili. Jakby im tylko pozwolić, to by wszyscy wrócili”. A ja mówię: „Taki Pan jest pewny? Wie Pan, ja nie jestem taka pewna”. Ale myślę sobie, co ja tu będę podskakiwać. Ale pani, z którą ja miałam pokój, ja wtedy chodziłam na kurs angielskiego i po prostu przygadałam sobie babkę, żeby ktoś znajomy ze mną pojechał, żeby nie być z kimś obcym w pokoju, ja ją namówiłam na tę wycieczkę. A ona też gadała, gadała, miała sto pretensji do wszystkich Żydów na świecie. Jak się skończyła wycieczka to jej powiedziałam: „Wie Pani, co? Cały czas Pani miała jakieś pretensje do Żydów, niech sobie Pani wyobrazi, ja też jestem Żydówką. Odgryzłam Pani nos we śnie? Wsadziłam Pani gwoździe do tyłka?”- już tak ordynarnie. „Dużo Pani krzywdy zrobiłam? Namówiłam Panią na taką wycieczkę. Pani by przeżyła całe życie i by Pani nie przyszło na myśl jechać do Włoch na wycieczkę”. To teraz ona jest moją serdeczną znajomą. W każdym bądź razie udaje. Ja też udaję dużo rzeczy. Na wycieczce myślałam: Jak ja się mam do tych Żydów dostać? Były dwie windy. Ta kobieta, z którą spałam, poszła do miasta, szukać jakiegoś lekarstwa dla matki. Wsiadłam do windy w hotelu, zjechałam na dół, tam wsiadłam w drugą windę i pojechałam na górę. Bo tak, to bym musiała zjechać windą piętro niżej, dwa piętra niżej i wszyscy by widzieli, że ja idę do tego pokoju. A ja zjechałam na dół, wsiadłam w windę i pojechałam na górę i poszłam prosto do nich do Żydów. No i oni ze mną rozmawiali. I była z nimi, młoda taka, dużo od nich młodsza, było starsze małżeństwo, ona była młodsza, jeden z nich pracował w jakimś kibucu w urzędzie pocztowym. Inna kobieta przeszła różne obozy, w których była strasznie pobita, że nie słyszała, nie mówiła, młoda zupełnie kobieta. Wtedy jeszcze, nie było mowy, żeby komuś gdzieś, coś dać i żeby uznali za kombatanta, nie było mowy o niczym. A ona już wówczas dostawała jakąś stałą zapomogę z Niemiec. Na pamiątkę mówię im: „Dajcie mi coś takiego, żebym mogła zawieźć mężowi to on się ucieszy, że z Izraela”. I dali mi pudełko zapalek.

Po wojnie najpierw nie pracowałam, bo przez dwa lata prowadziliśmy z mężem odlewnię żeliwa. Mąż był od tej części technicznej, a ktoś musiał przecież prowadzić wszystko inne. Musiałam prowadzić księgowość, karty pracowników. Wszystko musiałam robić. I potem nam wpakowali domiar, bo wtedy dawali domiary jak chcieli kogoś zniszczyć. Najpierw przyszedł taki urzędnik i powiedział, że nie zapłacono jakiegoś podatku od nieruchomości z tamtego obiektu. Mówię: „Przecież ja nie jestem jedna, ja mam tylko mały udział”. A ci, co kupili od tych współników ojca, spadkobierców, oni mają większość i posłałam ich do nich. Nie, oni przyszli i zabrali mi zegar. Ja mówię: „W zębach mi go przyniesiecie z powrotem”. Opowiadał ktoś, kto pracował wtedy w tym urzędzie skarbowym, że mówili: „Wszędzie możemy iść tylko nie do tej pyskatej baby! Ona jest strasznie pyskata, ja tam nie pójdę”. Potem przyszedł i mówi: „Proszę Pani przecież ja wykonuję swoją powinność, to jest moja praca, to jest mój zawód. Gdyby Pani mąż to musiał robić, to by też to robił”. Ja mówię: „Mój mąż?! Tak samo by tego nie robił, jak nie był hyclem”. W końcu nam wpakowali domiar i musieliśmy to wszystko zamknąć. No potem mąż założył

spółdzielnię, elektro-ceramikę, to tam pracowałam. Potem się rozchorowałam i przestałam pracować. Ale przyszli, w związku z tym domiarem, że zabiorą wszystko, co mogą jeszcze zabrać. A myśmy wtedy mieli psa bardzo złego. I ja mówię tak: „Ja Pana uprzedzam...” „Niech Pan tam nie wchodzi”. On musi. Całe mieszkanie... Ja mówię: „Proszę bardzo, tylko ja Pana uprzedzałam, Pan mi podpisze przedtem, że jak pies Pana złapie za ... i Panu wygryzie kawał tyłka, a Pan nie będzie miał na czym siedzieć, żeby Pan nie miał pretensji, bo ja Pana uprzedzałam, to jest bardzo zły pies!” Nie wszedł. I dali nam ten domiar. Ten domiar potem nam rozłożyli na raty i ja napisałam do „Szpilek”, że życzą mi lepiej niż ja im, bo oni mnie życzą, żebym ja żyła jeszcze w roku dwutysięcznym którymś i była w takiej kondycji, że będę mogła płacić raty w urzędzie, a ja im nie życzę, żeby tak długo żyli. Przesłali mi za to 150zł, wtedy to było dużo pieniędzy, schowałam sobie ten numer „Szpilek”, potem mi gdzieś zaginął. I zawołali mnie do urzędu skarbowego. Wchodzę, wszyscy siedzą. „Pani tu pozwoli”. Otwierają teczkę grubą, domyślam się, że to jest teczka, wszystko odnosi się do mnie i w tej teczce patrzę ten numer „Szpilek”. Ja mówię: „No zarobiłam na was 150zł. Wyście na mnie zarobili tyle. Tyle zobaczycie, pokazałam figę. Wy mnie lepiej życzycie niż ja wam, ja im to napisałam”. No i resztę umorzyli. Jest żelazna zasada, jak się da narobić sobie na głowę, to jeszcze trzeba podać papier. Najlepiej sobie nie dać narobić na głowę.

Tutaj, zanim rozdzieliliśmy to mieszkanie, były okropne warunki. Jednego dnia przyszli i wszystkich, którzy kiedyś coś mieli, wywozili do Żarek. To jest taka letniskowa miejscowość w lesie. Domy tam nie były ogrzewane. Chcieli nas też wywieźć. Zabrali nam pokój. To było chyba 1949 roku. Później rozchorowałam się ciężko, miałam zapalenie nerek i miedniczek nerkowych. Jakiś czas w ogóle nie pracowałam. Potem zaczęłam pracować chałupniczo. No i tak pracowałam do emerytury. Potem już nie było dobrej roboty to się postarałam o rentę inwalidzką, to mi dali trzecią grupę, ale grunt, że mi zaliczyli do emerytury. Musiałam uzbierać te lata, żeby mieć emeryturę i ciągle mi coś brakowało, więc sprowadziłam koleżankę, która siedziała ze mną w obozie i ona zaświadczyła, że byłam w obozie. Jeden urzędnik wówczas powiedział: „Może ona rzeczywiście była w obozie, ale czy tam pracowała?!” Ja mówię: „To byłam w obozie i nie pracowałam, tak?! To, co zarabiałam kwasem?” Wicie, co tak się zarabia kwasem? Nie? Wie Pan? Niech Pani powie. No to przepraszam za słowo, kwasem i dupą czasem. Bo jego matka była i nie pracowała. Ja mówię: „No to miała szczęście. Ja pracowałam. O co Panu chodzi? Czy pracowałam dla Niemców czy w ogóle pracowałam?! Pracowałam, a Hitler zapomniał mi dać zaświadczenie, że płacił za mnie ZUS, więc musicie mi uznać lata i już”. I nic nie płaciłam, nikomu nic nie zapłaciłam i dali mi emeryturę i już. Wcześniej przychodzili i sprawdzali, bo nie wolno mi było zarabiać więcej niż 1000 zł. Wyszła mi bardzo mała emerytura, no to wzięłam sobie tą administrację budynku, o którym wspomniałam wcześniej, a teraz przesłam na rentę po mężu, mam rentę rodzinną i dalej pracuję. Jak długo będę mogła, będę pracować. Praca, to jest terapia w takiej sytuacji jak ja mam.

Z tego, co pamiętam, to chyba powiedziałam wszystko. Na pewno mi się przypomni w nocy albo jutro rano. Tak samo jest z różnymi nazwami czy nazwiskami, których sobie nie mogę przypomnieć a przypominam sobie. O! Już wiem, kto mieszkał w tym baraku. Kapo! Kapo różni mieszkali, więc byli lepsi kapo i gorsi kapo. Kapo to już też zostało w słowniku, niestety.

Ja sama nie mam młodszego pokolenia, gdybym miała, to bym tu nie była. Bo ci, którzy mieli dzieci, wszyscy z nimi wyjechali. U bliskich znajomych była taka historia, że on był w partii i miał na tym punkcie kręćka, ojciec młodej osoby, i ona mnie powiedziała: „Jak dla mojego ojca partia jest ważniejsza niż jego jedyne dziecko, to niech sobie tu siedzi. Ja wyjeżdżam do Izraela.” No, ale wyjechali z nim. Wszyscy, którzy mieli dzieci, wyjechali. To był mus, przecież tym dzieciom trzeba było zapewnić lepsze życie, niż tu by mieli. Ja nie mogę powiedzieć, ja mam różnych znajomych, bo przecież w tych ciężkich czasach, jak mąż był bardzo chory, w tych najtrudniejszych chwilach, czy jak trzeba było zorganizować pogrzeb. W rodzinie normalnej jak ktoś umiera to jest cała rodzina do tego, a ja jestem jedna. To mi pomogli. Prawosławny ksiądz nam sprzedał miejsca na cmentarzu. Przedtem sprzedał naszemu przyjacielowi, lekarzowi, on sobie tam kupił jedno miejsce dla siebie i jedno symboliczne dla rodziców. Nas namówił, myśmy sobie też wykupili i kazaliśmy wymurować, postawić pomnik z nazwiskiem, ze wszystkim, tylko bez daty urodzenia. I do końca nie kazałam, ani na klepsydrach, ani na niczym. Co kogo obchodzi, kto ile ma lat? Jeść mi dają, czy co?! Tylko datę śmierci. Tego księdza też bardzo szanuję, mam dla niego bardzo wiele uznania. Zresztą to nie tylko od niego zależało, tylko od rady tej parafii prawosławnej, że nam sprzedali miejsce. Bo gdzie by nas pochowali?! Dali by nam takie okropne miejsce, gdzieś na cmentarzu na tych Kulach trzeba by nas było, na katolickim cmentarzu pochować. Tu już mamy przygotowane wcześniej porządne miejsce, przy ścieżce. Bo tam są dwa w głąb groby. Nic nie mogę powiedzieć, bo jest trochę porządnym ludzi też, nie mogę powiedzieć, zgrzeszyłabym. Ale większość jest taka .... Jaki straszny szum był, jak któryś z premierów Izraela powiedział, już nie pamiętam który, że Polacy wysnali antysemityzm z mlekiem matki. Który powiedział? Ze dwóch premierów w tył, chyba. I zrobił się u nas wielki szum. Jak mogli tak powiedzieć?! To i tamto. Z tego, co ja widziałam. Więc ja też powiedziałam: „To jest możliwe, żeby było wysane z mlekiem matki”. „Tak Pani uważa?”. „Tak, bo teraz się tak szybko, tak wcześnie odstawia dziecko od piersi, że nie było możliwe, żeby to dziecko to wysało, bo dziecko na ogół pije mleko z butelki, a krowy są to bardzo porządne zwierzęta, więc nie mogą być takie kołtunki”. Teraz mało, kto mnie może przegadać, więc jakoś uszłam. Ja tam jak jadę do Izraela to się świetnie czuję psychicznie, do pewnego momentu. Ale potem jak widzę tych strasznych chasydów... To jest pierwsze miasto ery nowożytnej, zdaje się zbudowane przez tych pierwszych pionierów. Jak robi się zmierzch to chodzi taki i trąbi, czy bije w dzwonek, już nie pamiętam. Wydaje jakiś specjalny głos, żeby ludzie wiedzieli, żeby zamykali sklepy i przestali pracować. Istne średniowiecze. Tam są firmy taksówkowe, które w sobotę nie pracują. Tam autobusy w sobotę nie chodzą, bo w

Hajfie chodzą na okrągło. Hajfa to jest inny świat. Ale w (?) nie chodzą autobusy. Przystają chodząc po południu i dopiero chodzą następnego dnia wieczorem. Trzeba iść pieszo jak się ma jakiś interes. Poznaliśmy takiego Pana, który z resztą się wychował pod Częstochową, mówi po polsku, jemu się zdaje nawet, że pisze po polsku i to jest kuzyn tego arcybiskupa Lustigera z Paryża. Nazywa się po polsku Lustiger, tak jak tamten się nazywał, zanim się zrobił francuskim biskupem. A jest tak religijny jak tamten, tylko w inną stronę. On nie zjedzie windą w sobotę w szpitalu, bo on nie może nacisnąć guzika. A poza tym ta winda się też zmęczy pewnie. No, więc dla mnie to jest średniowiecze. Tak źle i tak nie dobrze.

Przyszłe pokolenia powinny budować Izrael. Ja jestem z nich dumna. Cale moje serce jest tam. Tu tylko tyle, ile trzeba żeby tu dożyć. Powiedziałam przyjaciółom, znajomym, że mężowi włożyłam do trumny pod głowę woreczek z ziemią z Izraela: „Po coś mu kładła woreczek? Przecież on się tu urodził i ty żył!” To ja mówię: „Tośmy go tu pochowali w tej ziemi, ale pod głową ma ziemię z Izraela”. Przypuszczam, że gdybym umierała w Izraelu, to chciałabym mieć ziemię stąd, bo tu przeżyłam życie i tutaj wszyscy moi bliscy spoczywają, niepochowani, prochy rozsypane w Treblince. Co będzie dalej to zobaczymy, ale dostaję listy od takiego wdowca, męża przyjaciółki. Oni byli w armii Andersa. To jest ten, któremu jego komendant powiedział, żeby wracał, żeby jechał do Izraela: „Jedź! Jedziesz do swoich i ja nie będę ciebie uważał za dezertera, jeżeli tam zostaniesz, bo jedziesz do swoich. Do Polski nie wracaj. Tam będzie zawsze antysemityzm, a ciebie szkoda”. I on do mnie pisze ciągle oburzony, że jak ludzie mogli głosować na antysemitów, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Nie wiem, nie jestem i nie uważam się za dosyć, się za dosyć rozumną. Ale jak byliśmy ostatnio w Izraelu i u nich miały być wybory, to wszyscy nasi znajomi chcieli głosować na lewicę. Jedną tylko częstochowianką, która na papierach przeżyła tyle, że mogła by taką grubą książkę napisać, koleżanka mojej siostry. To ta tylko powiedziała, że będzie głosować na prawicę, bo lewicy to ona już ma dość. Mąż mojej ciotecznej siostry był na wschodzie. I jak wybuchła wojna z Niemcami, to ich wywozili, ewakuowali, oddzielnie mężczyzn, pierwsze kobiety potem mężczyzn, i ona pojechała z przyjaciółką a ci mężowie razem. I ktoś je uprzedził, żeby nie szły do polskiego wojska, bo mają sowieckie paszporty, a one posłały im list, który nie zdążył dojść, oni się zgłosili do polskiego wojska i ich wpakowali na 10 lat do łagru za kontrrewolucję. Jak wrócili to on powiedział: „Budowy socjalizmu i słowian to ja mam już dość. Jedziemy do Izraela”. Zabrał żonę, dziecko i wyjechali. Ja mam zawsze uczucie wstydu, zażenowania i dyskomfortu psychicznego, że ja się swoją żadną pracą nie przyczyniłam do powstania tego kraju, tego państwa. Mojej pracy tam nie ma. A tam jest tyle krwi i tyle potu. Czy to jest do pomyślenia jeszcze gdzieś na świecie, żeby z takiego piachu było tyle roślinności kwitnącej? Żeby do każdego drzewka szedł przewód z wodą? Gdzie to jeszcze ktoś widział czy słyszał? Była taka seria filmów? On ma takie podwójne nazwisko. Zresztą ma żonę żydówkę, jak jeździł do Izraela to mieszkał u naszych znajomych w Hajfie. I w jednym z tych filmów byli dwaj naukowcy z Akademii Rolniczej z Polski, którzy pojechali tam na przeszkolenie. Jeden się zajmował hodowlą bydła, a drugi już nie pamiętam, czym.

Jak te krowy wychodzą, jak stają przy tych automatycznych myjkach, które im myją brzuchy i wymiona i potem same idą dalej do dojenia. To jest na pewno czyste. Jaka tam jest organizacja? Ja widziałam szpital, byliśmy w szpitalu. Niestety szpitale polskie to ja przejrzałam naprawdę, bo mąż mój leżał wiele razy w szpitalu. Jak wygląda szpital? Nasz przyjaciel jak przeszedł na emeryturę, a był oficerem policji, to się zgłosił jako wolontariusz i w jakiś oznaczony dzień tygodnia o oznaczonej godzinie, szedł do szpitala w (?) i pracował przy rentgenie. On nie miał żadnego przeszkolenia, po prostu trzeba było naklejać paski na papier i tyle robił, co lekarz kazał, wpisywać tam. Dzięki tej pracy już jedna pielęgniarka jest wolna, prawda? Może się zająć czymś innym, bo on to za nią robi. Następnym razem jak pojechaliśmy do Izraela, on już był bardzo chory, był w szpitalu. Poszliśmy do niego do szpitala, wjeżdża wózek i tam tak jak w samolocie wszystko naszykowane już na tych tacach i roznoszą, i wchodzą różne panie stają w progu, coś mówią, więc się pytam: „Co one mówią?” Bo nie rozumiem przecież, co one mówią. „One się pytają, komu z chorych potrzebna pomoc, żeby go zaprowadzić do jadalni”. Bo jest na każdym piętrze jadalnia, jedna albo dwie. Komu trzeba usiąść przy łóżku i mu pomóc zjeść to co mu dadzą, bo on jest za słaby, czy leży, czy to czy tamto, i trzeba go nakarmić. Nikogo nie dziwi, to normalnie jest przyjęte. U nas jest teraz cała chryja z tymi, co mają przeprowadzać dzieci przez ulicę. Wiecie jak to wygląda w Izraelu? Ja obserwowałam to. Na najbliższych rogach, przy szkole podstawowej, stoją dzieci z ostatniej, najwyższej klasy tej szkoły podstawowej. Noszą takie pomarańczowe kamizelki jak u nas ci, co na ulicy pracują i mają takie tzw. lizaki jak ma milicja, tylko takie duże koła na takim długim patyku. I jak się przy nich zbierze troje czy czworo dzieci, które chcą przejść, to dziecko się wysuwa i zatrzymuje wszystkie samochody. Mowy nie ma, żeby któryś samochód nie usłuchał. Mowy nie ma. Zatrzymują się wszystkie i jedno czeka z tym patykiem, a drugie przeprowadza dzieci. Nie trzeba nikomu pensji płacić, nie trzeba nikogo przeszkalać. A już jeden był taki zdolny, że wpadł pod samochód z tego przeprowadzania.